



ISSN 1427-6720

Pionierzy

NR 3(18) 2002 ROK VII
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE



Dzieje zielonogórskich dzwonów
Początki szkoły muzycznej
Starej cyny blask
Ucieczka z Zielonej Góry
Kalendarium prac na winnicy

Polski opłatek

Z okazji świąt Bożego Narodzenia,
Wszyscy sobie składają życzenia,
A ta niepowtarzalna atmosfera,
Wszystkich nas łączy, a nie rozdziela.

Biały opłatek w ręku ojciec trzyma,
Przy stole wigilijnym gromadzi się rodzina
Taki jest obraz życia duchowego,
Taka jest tradycja narodu polskiego.

Ten biały opłatek w dłoniach trzymany,
To najlepszy balsam na zadane rany,
To symbol miłości, zgody, przebaczenia,
To isierka nadziei wśród osamotnienia.

Łamiąc się opłatkiem ściskamy sobie dłonie,
Dawajmy z siebie miłość, która w sercach płonie,
Nie tylko w wigilię, która ma tyle uroku,
Ale po wszystkie dni całego roku.



*Z okazji Świąt Bożego Narodzenia
i Nowego Roku serdeczne życzenia cie-
pła i spokoju w gronie rodzinnym, na-
dziei, wzajemnej życzliwości, szczęścia
w życiu osobistym*

składa
REDAKCJA

Pionierzy

Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia
Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Maria Gołębiowska
Tomasz Nodzyński
Wiesław Nodzyński
Wojciech Strzyżewski
Robert Skobelski

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Korekta:

Ewa Przygoda

Druk:

Drukarnia „EURODRUK”
Zielona Góra

Na okładce:

Dzwon z wieży
zielonogórskiego ratusza z 1669 r.
Fot. Adam Górski

Materiałów nie zamawianych
redakcja nie zwraca.
W materiałach nadesłanych
redakcja zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian redakcyjnych.
Za treść reklam
redakcja nie odpowiada.

Osiemnasty, świąteczny numer naszego pisma, zainteresuje na pewno wszystkich, którym bliska jest historia Zielonej Góry i całego regionu lubuskiego.

Pierwszy tekst, autorstwa **Adama Górskiego**, dotyczy mało znanych jak na razie, dziejów najstarszych zielonogórskich dzwonów. Autor, oprócz ciekawego i barwnego opisu, zamieszcza również własnoręcznie wykonane zdjęcia zabytków.

Małgorzata Twarowska opowiada o początkach szkoły muzycznej w Zielonej Górze oraz podkreśla rolę jej wieloletniego dyrektora Romana Mazurkiewicza – autora hymnu Ziemi Lubuskiej, wykonywanego jako hejnał podczas Winobrania.

Z kolei **Wiesław Myszkiewicz** przedstawia historię ulicy Kupieckiej, jednego z najpiękniejszych zakątków zielonogórskiego starego miasta.

Artykuły wspomnieniowe otwiera tekst **Daniela Koteluka** na temat osadników – działaczy ruchu ludowego, którzy zdecydowali się przyjechać na Ziemię Odzyskaną. **Anna Ciosk** przybliży natomiast postać Martina Klose – erudyty, humanisty, badacza, założyciela muzeum w Zielonej Górze. O równie ciekawej osobie pisze **Przemysław Góralczyk**. Bohaterem jego artykułu jest bowiem ksiądz Ludwik Mucha, kapelan legendarnego majora Hubala, uczestnik ruchu oporu, a w latach 50-tych proboszcz parafii Czerwieński. **Stanisław Prałat** przytacza drugą już część listu-raportu Johanna Otte, przedwojennego dyrektora Browaru Zamkowego, relacjonującego ucieczkę z Zielonej Góry w 1945 r.

Grzegorz Chmielewski szuka w swoim artykule odpowiedzi na pytanie, czy Jan Ignacy Felbiger, opat klasztoru kanoników regularnych z Żagania i wybitny uczony, był projektodawcą piorunochronu na wieży kościoła św. Jadwigi.

Longin Dzieżyc prezentuje z kolei arkana sztuki konwiskarskiej oraz zastosowania cyny, metalu niegdyś bardzo popularnego na Dalekim Wschodzie, w Starożytnym Rzymie oraz we współczesnej Europie.

Tekst **Ryszarda Michalaka** zawiera obszernie fragmenty dokumentów dotyczących niemieckiej administracji w Zielonej Górze oraz dramatycznej akcji wysiedlania tutejszej ludności po II wojnie światowej.

Rozmyślenia po północy **Jana Muszyńskiego** tym razem zostały poświęcone postaci Andrzeja Gordona – zielonogórskiego malarza z Gorzowa, którego 10 rocznica śmierci przypadła w roku bieżącym.

Jerzy Łatwinski, podobnie jak w poprzednich numerach „Pionierów”, opisuje następną część regionu lubuskiego – Trzebulskie Pogórze, będące ciekawym i atrakcyjnym terenem turystycznym.

Wszystkich zainteresowanych kalendarzem prac w zielonogórskiej winnicy na pewno przyciągnie tekst **Zdzisławy Krasko**, nawiązujący do historii i tradycji winiarskich naszego miasta.

Na koniec o wigilijnych zwyczajach pisze **Stanisław Prałat**, przypominając, niestety już coraz rzadsze tradycje świątecznych i noworocznych wróżb oraz prorocstw.

Robert Skobelski

Adam Górski

Dzieje najstarszych zielonogórskich dzwonów

Prowadząc badania nad przeszłością historycy korzystają z różnorodnych źródeł sięgając do kronik, dyplomów, przywilejów, listów i innych źródeł pisanych, w tym również źródeł epigraficzno-ikonograficznych. Od kilkunastu lat coraz większą rolę w takich badaniach odgrywają zabytki epigraficzne, które wykazują inskrypcje (napisy) wykonane najczęściej w materiale twardym – np. w piaskowcu, marmurze, brązie, srebrze lub złocie. Polskie badania w tym zakresie zainicjował prof. Józef Szymański z Lublina. Owocem tych badań jest seria wydawnicza *Corpus Inscriptionum Poloniae*, zawierająca opis zachowanych zabytków w poszczególnych regionach Polski. Od 2001 roku na terenie Uniwersytetu Zielonogórskiego rozpoczęła działalność (jako pierwsza i jak na razie jedyna w kraju) Pracownia Epigraficzna działająca w ramach Zakładu Nauk Pomocniczych Historii w Instytucie Historii. Z inicjatywy kierownika pracowni: prof. Joachima Zdrenki, pierwszym zadaniem jakie należało zrealizować było opracowanie zabytków inskrypcyjnych miasta Zielonej Góry. Prace te zostały już w dużym stopniu zakończone. W niniejszym artykule zaprezentuję tylko jeden fragment, dotyczący dzwonów zielonogórskich. Przedmiotem badań były nie tylko obiekty istniejące do czasów współczesnych, ale także inskrypcje zaginionych dzwonów.

Dzwon od dawna był nieodzownym elementem wyposażenia kościoła. Zwoływał mieszkańców miasta na msze, zawiadamiał o niebezpieczeństwie i uświetniał swoim brzmieniem momenty uroczyste. Górująca nad okolicą wieża świadczyła swoją wysokością o zamożności miasta i była często powodem słusznej chluby. Nieco odmienną rolę niż dzwon kościelny spełniał dzwon ratuszowy (miejski), który bił na alarm na wypadek pożogi lub napaści, wybijał godziny, a także obwieszczał koniec i początek wojny. Fundacja dzwonu wiązała się dawniej z poważnymi nakładami finansowymi, stąd rzadko zdarzało się, by pełne koszty pokrywała jedna osoba. Najczęściej było kilku, bądź kilkunastu fundatorów lub fundatorkami była pewna społeczność. W tej sytuacji nie należy się dziwić, że dzwon był „ubierany” w różnego rodzaju inskrypcje. Oprócz cytatów biblijnych dotyczących świętego, któremu dzwon był poświęcony, inskrypcje zawierały także informacje, komu ów dzwon był poświęcony i kto był jego fundatorem. Jeżeli lista tych ostatnich była zbyt długa w stosunku do wielkości płaszcza dzwonu i związanych z tym możliwości naniesienia odpowiedniej liczby wyrazów, nie wymieniano funkcji darczyńców lub posługiwano się skrótami. W przypad-

ku bardzo małych dzwonów zastępowano nazwiska fundatorów określeniem „wspólnota” lub „wierni”, ewentualnie „mieszkańcy”. Swoich imion bądź inicjałów nie omieszkali zamieścić również wykonujący go ludwisarze. Dzwon zdobiono dodatkowo różnego rodzaju reliefami (najczęściej wizerunkiem Chrystusa lub Maryi, ewentualnie świętych, którym dzwon był poświęcony) i motywami roślinnymi. Zarówno wielkość, jak i treść inskrypcji zależała przede wszystkim od wielkości dzwonu, a to znów od hojności i zasobności fundatora. Wszelkie te informacje są dzisiaj nieocenionym źródłem wiedzy o minionych czasach, gdyż przynoszą nam dane, które poszerzają naszą wiedzę nie tylko z zakresu historii regionalnej, ale wzbudzają również zainteresowanie historyków sztuki jako źródło doznań estetycznych mieszczań zielonogórskich. Są one przy tym wyjątkowymi zabytkami, gdyż są świadkami wielu dziejowych wydarzeń.

W Zielonej Górze najstarsze dzwony zachowały się na wieżach kościoła p.w. św. Jadwigi, kościoła p.w. Matki Bożej Częstochowskiej i miejskiego ratusza. Ich losy były ściśle powiązane z losami tych trzech budowli.

Najstarszym z nich jest budynek obecnej konkatedry. Zbudowany został w XIV wieku. Nie znamy również czasu wybudowania pierwszej wieży, która zapewne powstała w kilka lat po ukończeniu głównego gmachu. Pierwsza potwierdzona źródłami wieża spłonęła w 1582 roku. W osiem lat później została odbudowana, jednak nie zabezpieczona przed piorunami została przez nie uszkodzona w latach 1608 i 1635.

19 lipca 1619 roku w miejsce uszkodzonego po pożarze w 1608 roku powieszono nowy dzwon, którego inskrypcja była chronogramem (zawierała zaszyfrowaną w sobie datę: roczną 1619). Dzwon ufundował pastor Erasmus Willich, którego nazwisko znalazło się w inskrypcji. W tym samym roku ufundowano także mniejszy dzwon niesporny, który zawieszono 31 sierpnia. Więcej informacji na temat tego dzwonu nie posiadamy. Wieża kościoła spłonęła ponownie 23-24 sierpnia 1651 roku. Temperatura była na tyle wysoka, że stopieniu uległ znajdujący się w niej dzwon, z którego pozostałości odlano nowy. Ozdobiono go reliefem przedstawiającym Maryję z dzieciątkiem i bogatą inskrypcją, w której poinformowano o losach poprzedniego i obecnego dzwonu. Dzwon został odlany przez mistrzów: Johanna Leidera z Głogowa i Joachima Rotheego ze Wschowy.

Siedem lat później wieżę wzbogaciły trzy kolejne dzwony. Najpierw 24 czerwca 1659 roku wciągnięto na

górze dwa dzwony: większy nazywany uroczystym (Festglocke) oraz mniejszy zwany potocznie niespornym bądź wieczornym (Bet- oder Vesperglocke). Inskrypcja na pierwszym z nich wymienia nazwiska fundatorów, wśród których znaleźli się przedstawiciele tutejszego patrycjatu oraz imię świętego, któremu dzwon poświęcono, a mianowicie Jana Chrzciciela. Mniejszy dzwon poświęcony św. Jadwidze był tańszy więc i lista fundatorów była krótsza. Oba dzwony wykonał ludwisarz Franz Voileardii.

19 sierpnia tegoż roku, obok wspomnianych powyżej, zawisł kolejny nowy dzwon, zwany tureckim (Türkenglocke). Inskrypcja łacińska była fragmentem Psalmu 67. Dodatkowo uwieczniono na nim dwa nazwiska: fundatora Jeremiasza Hempela i ponownie ludwisarza Franza Voileardii. Opisane wyżej dzwony zawierały także wizerunek ukrzyżowanego Jezusa – przypuszczalnie z inskrypcją „INRI” na krzyżu – oraz podobizny Maryi i św. Jana.

W 1684 roku kościół otrzymał kolejny dzwon, tym razem była to tzw. sygnałówka lub inaczej dzwon żałobny (Signir- oder Totenglöcklein) z wizerunkiem św. Jadwigi trzymającej w ręku bryłę kościoła (zdjęcie obok). Posiada łacińską inskrypcję następującej treści: „*ku czci św. Jadwigi, patronki Śląska, ufundowany w roku 1684. Odlął mnie Zygmunt Götz we Wrocławiu*”. Dzwon ten przetrwał do dnia dzisiejszego na wieży konkatedry w dobrym stanie. Jest to jedyny dzwon z kościoła p.w. św. Jadwigi, który się zachował. Jak wiadomo w czasie pierwszej wojny światowej przetopiono na potrzeby przemysłu zbrojeniowego wiele dzwonów. Nie ominął ten proceder także Zielonej Góry. Pierwszy z dzwonów został zabrany w 1917 roku (zachowało się tylko jego zdjęcie), drugi (wielki) po raz ostatni zabrzmiał nad Zieloną Górą 18 września 1918 roku, tj. zaledwie kilka tygodni przed podpisaniem rozejmu w Compiègne.

Przejdźmy teraz do omówienia dziejów dzwonów kościoła p.w. Matki Bożej Częstochowskiej. Kiedy w 1748 roku zakończono budowę i uroczyste otwarto Kościół ewangelicki w Zielonej Górze nie posiadał on wieży obecnych rozmiarów, bowiem zabrakło na to funduszy. Mimo to kościół otrzymał w darze od miasta trzy dzwony. Zawdzięczał je inicjatywie burmistrza Krzysztofa Fryderyka Benjamina Kaufmanna (1717-1775), który na radzie miasta w dniu 9 października 1748 roku postawił kwestię konieczności ich zakupu. Rozważano wtedy dwie propozycje mistrzów ludwisarskich. Ostatecznie jednak odrzucono ofertę mistrza z Żar, bowiem nie miał on tak dobrej renomy jak jego konkurent, a dodatkowo Żary należały wtedy do Saksonii, a więc znajdowały się poza granicami kraju. Złożono więc zamówienie u mistrza Johana Gottfryda Täuberta z Legnicy, który wykonał już dzwon dla niedalekiej Szprotawy. Jego praca została bardzo dobrze oceniona, a koszt nie przekroczył 100 talarów. Te względy zdecydowały o podpisaniu z nim umowy. Ponieważ powyższe argumenty przytoczył sam Kaufamman, należy przypuszczać, że kontaktował

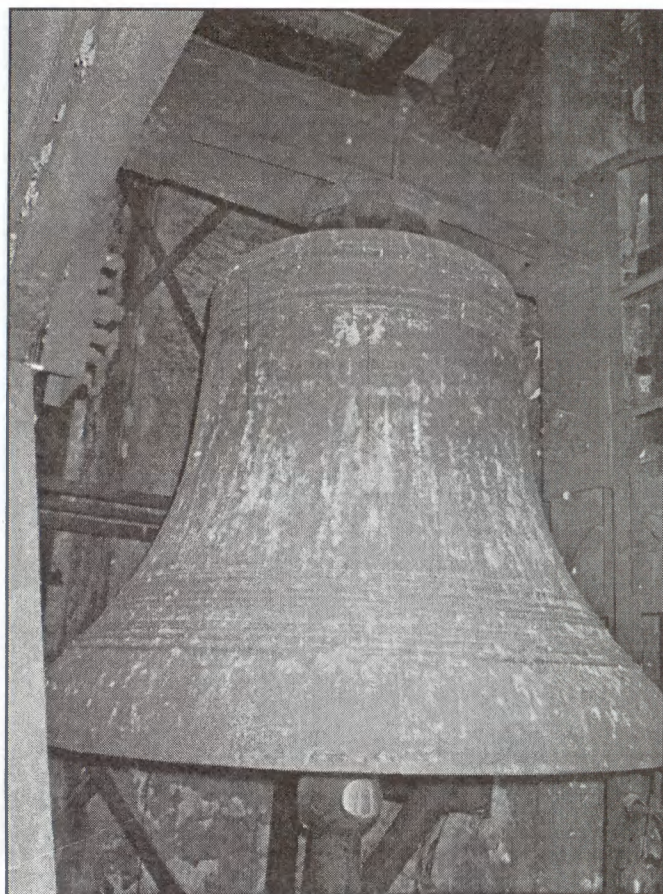


Dzwon z konkatedry św. Jadwigi z 1684 r., tzw. sygnaturka.
Fot. autor.

się on już wcześniej ze wspomnianym mistrzem ludwisarskim z Legnicy. Sprawa fundacji dzwonów stała się dla rady miejskiej kwestią prestiżową. Cały patrycjat miejski uznał za konieczne przyłączyć się do kwesty na rzecz dzwonów, tak, że wkrótce możliwe było zamówienie nie jednego lecz trzech dzwonów. Umowa zastrzegła, by dzwony były wykonane z dobrego metalu i były gotowe na 1 dzień adwentu (1 grudnia). 100 talarów wypłacono ludwisarzowi tytułem przedpłaty. Długo rozważano kwestię treści inskrypcji i ostatecznie zdecydowano się na napis łaciński, który uwiecznił nazwiska wszystkich fundatorów wraz z ich funkcjami pełnionymi w mieście. W pierwszym wersie, który informował, że dzwon poświęcony jest królowi pruskiemu Fryderykowi II ukryto chronogram, którego zliczone litery odpowiadające cyfrom rzymskim oddają datę roczną 1748. Warto przypomnieć, że król pruski w tym czasie opanował Śląsk i przywrócił wolność wyznania kościołowi ewangelickiemu, o czym informuje również dalsza część inskrypcji.

Drugi dzwon zawierał nieco krótszy napis, który również honorował darczyńcę: Johana Georga Hartmanna oraz zawierał cytat z Psalmu 125, wers 1. Podobną inskrypcję zawierał również ostatni, najmniejszy z dzwonów, który został ufundowany przez ojca i syna: Abrahama i Dawida Mühle, a jego inskrypcja rozpoczyna się fragmentem wersu 1 z Psalmu 115. W obu inskrypcjach umieszczono także datę 1 grudnia 1748 roku.

Z powodu złej pogody, która utrudniała stygnięcie i wysychanie dzwonu, dużych nakładów pracy przy wy-



Dzwon z konkatedry św. Jadwigi z 1763 r. Fot. autor.

konywaniu inskrypcji i głównie z braku wystarczających zapasów miedzi mistrz nie zdążył na przewidziany umową termin. Dzwony dotarły do Zielonej Góry dopiero 10 grudnia. Ich wspólna waga wyniosła 5 cetnarów i 54 funty (czyli około 350 kilogramów). Mistrz po udzieleniu gwarancji na rok i jeden dzień otrzymał pozostałą zapłatę w wysokości 184 talarów i 20 srebrnych groszy. Dzwon miejski (największy) kosztował 139 talarów i 18 groszy.

Czwarty dzwon ufundowano z okazji zawarcia pokoju w Hubertusburgu w roku 1763, kończącym wojnę siedmioletnią, na mocy którego Prusy uzyskały Śląsk. Nazwano go dzwonem pokoju (die Friedensglocke). Odlano go w zielonogórskiej cegielni znajdującej się przy drodze wylotowej na Raculę. Choć nie zawiera on żadnych reliefów, jego dużą wartość określają trzy inskrypcje łacińskie i jedna niemiecka. Znajdujemy tutaj informację zarówno o fundatorach – choć już nie z nazwiska, a ukrytych pod wspólnym określeniem: SENATUS POPULUSQUE GRUNBERG, nazwisko ludwisarza: Johanna Gescheidna oraz upamiętnienie sukcesu Fryderyka II. Ponownie odnajdujemy tu chronogram, którego zliczone litery odpowiadające cyfrom rzymskim oddają rok 1763. Dzwon ten niewątpliwie miał „szczęście”, bowiem uchronił się dwukrotnie przed przetopieniem. Po raz pierwszy w 1823 roku, a następnie w 1918. Dzięki temu zachował się do dzisiaj i obecnie znajduje się w kościele pw. św. Jadwigi.

Opisane cztery dzwony przetrwały do 1828 roku, kiedy to zakończono ostatecznie rozbudowę wieży. Wykorzystano wtedy pobyt ludwisarza Fridricha Gruhla w Zielonej Górze i przygotowano plan odlania nowych dzwonów. Zdecydowano o przetopieniu trzech mniejszych dzwonów i pozostawieniu jedynie największego – Friedensglocke, który miał znaleźć sobie miejsce obok trzech nowo odlanych. Treść inskrypcji ponownie zawierała nazwiska i funkcje fundatorów, a także datę odlania dzwonu i nazwisko ludwisarza. Ciekawsza była inskrypcja na mniejszym z dzwonów, która opowiadała historię fundacji dwóch przetopionych dzwonów i wymieniała poprzednich fundatorów, a także informowała o zakończeniu przebudowy wieży. Ostatnia inskrypcja w pięknych słowach oddaje cześć zielonogórskiej gminie ewangelickiej.

Dzwony te dotrwały do 1918 roku, wtedy to przyszła decyzja o zdjęciu trzech wspomnianych wyżej dzwonów na „ofiary dla ojczyzny”. Ocalał tylko omówiony wyżej dzwon pokoju „Friedensglocke”, który został przeniesiony do kościoła katolickiego.

Obecnie na wieży kościoła p.w. Matki Bożej Częstochowskiej wiszą cztery dzwony, które znalazły się tam dzięki staraniom ówczesnego pastora Friedricha Krebsa w dniu 12 czerwca 1920 roku. Po raz pierwszy zadzwoniły one 14 dni później, tj. 26 czerwca. Wykonane zostały w Bochum, nie zwierają zdobień, a inskrypcje zawierają krótkie cytaty pochodzące z Nowego Testamentu.

Na nie mniejsze zainteresowanie zasługują dzwony wieży ratuszowej, które swoim dźwiękiem przypominają nam codziennie o mijającym czasie. Mało kto zdaje sobie przy tym sprawę, że pochodzą one jeszcze z XVII wieku.

Nie ulega wątpliwości, że pierwszy zielonogórski ratusz był budowlą drewnianą i istniał już w XIV wieku. Nie wiemy, niestety, czy istniała wtedy również wieża, ale zapewne powstała ona jeszcze pod koniec XVI wieku. Pierwsze zachowane informacje podają rok 1604. Zapewne wieża była od początku zaopatrzona w dzwony. Na pewno jeden niewielkich rozmiarów dzwon został umieszczony na wieży w 1613 roku. Wolff podaje informację o odlaniu oprócz kościelnych także dwóch dzwonów miejskich. Można przyjąć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że trafiły one właśnie na ratusz. Pozostały na nim niewątpliwie do 1651 roku. Pożar, który zniszczył wówczas miasto dotknął także ratusz. Nie wiemy, czy pożoga zniszczyła także wieżę, jakkolwiek częściowe uszkodzenie wydaje się prawdopodobne. Pośrednim dowodem na to jest ufundowanie kolejnego dzwonu ratuszowego w roku 1652. Dzwon ten przetrwał do dzisiaj i zielonogórzanie słyszą go co godzinę, gdy daje znać o mijającym czasie. Obecnie brakuje serca dzwonu. Ponadto jest on uszkodzony w dwóch miejscach przy podstawie. Posiada dwa reliefy umieszczone po dwóch przeciwnych stronach płaszcza dzwonu. Pierwszy wyobraża Matkę Boską i Marię Magdalenę u stóp ukrzy-

żowanego Chrystusa; drugi przedstawia Matkę Bożą z Dzieciątkiem w strojach koronacyjnych. Nie ma wątpliwości, że wykonali go ci sami ludwisarze: Johann Leider i Joachim Rothe, którzy w tym samym czasie wykonali dzwony dla kościoła p.w. św. Jadwigi. Świadczy o tym bowiem inskrypcja, która oprócz daty zawiera imiona i nazwiska obu mistrzów.

W roku 1669 w miejsce starej wzniesiono nową wieżę ratuszową. Prace zakończono już 5 sierpnia i wówczas przeniesiono również stary dzwon i ufundowano nowy. Zachował się on do dnia dzisiejszego na najwyższej kondygnacji wieży. Inskrypcja głosi: „módl się, albowiem nie znasz dnia ani godziny”. Dodatkowo zamieszczono na dzwonie relief ukrzyżowanego. Rok później ufundowany został jeszcze niewielki dzwonek, który pozbawiony jest zdobień. W górnej części jego płaszcza przebiega inskrypcja z datą. Również ten dzwon przetrwał i dziś jest słyszany przez mieszkańców, kiedy wybija mijające kwadranse. O innych dzwonach ratuszowych nie zachowały się żadne informacje, co pozwala przyjąć, że więcej ich nie ufundowano.

Tak przedstawiają się dzieje zielonogórskich dzwonów do roku 1919. Są to wyjątkowe zabytki. Były świad-

kami wielu dziejowych wydarzeń, przetrwały wiele przemian. Dziś stanowią źródło wiedzy dla historyków zajmujących się historią regionalną, historyków sztuki, a także źródło doznań estetycznych dla zielonogórskich mieszczan, obwieszając swoim wspaniałym brzmieniem kolejne mijające godziny.

Bibliografia:

1. Die evangelische Stadtpfarrkirche „Zum Garten Christi“ in Grünberg, Schlesien im ersten Jahrhundert ihres Bestehens, Grünberg 1934.
2. Dzwonkowski T., Parafia p.w. św. Jadwigi w Zielonej Górze, Zielona Góra 1994.
3. Felchnerowski K., Zabytki zielonogórskie, [w:] Zielona Góra – przeszłość i teraźniejszość, pod red. M. Szczanieckiego i J. Wąsickiego, Poznań 1962.
4. Krebs F., Die evangelische Kirche Grünbergs, [w:] 2. Beilage zu Grünberger Wochenblatt, nr 129, Grünberg 1922.
5. Liebig F., Die Pfarrkirche zu St. Hedwig in Grünberg, Grünberg 1932.
6. Sappelt P., Die Geschichte der katholischen Stadtpfarrkirche, [w:] 1 u. 2. Beilage zum Grünberger Wochenblatt, nr 129, Grünberg 1922.
7. Schmidt H., Die Geschichte der Stadt Grünberg, Grünberg 1922.
8. Unsere Rathaus [w:] Grünberger Blätter, Hf. 4, 1920, s. 16.
9. Wolff O., Geschichte der evangelischen Stadt – und Landgemeinde Grünberg, Grünberg 1892.

Początki szkoły muzycznej w Zielonej Górze

Małgorzata Twarowska

W czerwcu 1946 r. do Zielonej Góry zostaje oddelegowany Maksymilian Migaszewski z zadaniem utworzenia w mieście szkoły muzycznej. Zadanie powierza mu Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki. Miesiąc później szkoła otrzymuje piętro, dokładniej 8 pokoi, przy ulicy Stalina 25.

Autor kroniki szkoły (prawdopodobnie jej ówczesny dyrektor) pisze, że szkoła całkowicie zorganizowana została w 1947 r. W tym też roku uczniowie szkoły dają pierwszy publiczny popis swoich umiejętności. Ponadto cała szkoła udziela się społecznie na różnego rodzaju akademiach z okazji rocznic i świąt narodowych (m.in. w rocznicę śmierci gen. Karola Świerczewskiego). Akademie takie uatrakcyjniane są także referatami lub pogadankami, uczniowie recytują wiersze, śpiewa chór szkolny.

W styczniu 1950 r. szkoła zostaje upaństwowiona, co oznacza minimalne opłaty za czesne. Na ten temat ukazał się w prasie artykuł: „dzieci robotników płacili za naukę 150 zł na miesiąc, dzieci inteligencji pracującej 250 zł, a dzieci, których rodzice wykonywali wolne zawody – 500 zł”. Prasa poruszyła także problem pomieszczeń, który był zmartwieniem trzech kolejnych dyrektorów szkoły, ponieważ skutecznie uniemożliwiał dzieciom naukę.

Maksymilian Migaszewski z dniem 1 marca 1950 r. zakończył pracę w szkole muzycznej i przeniesiony został na

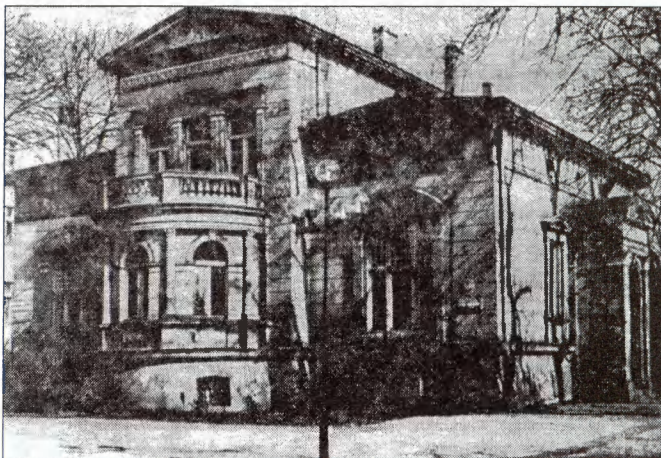


równorządne stanowisko do Zakopanego. Dekretem Ministerstwa Kultury i Sztuki jego następcą został doktor filozofii i muzykologii Roman Mazurkiewicz. Jak pisze Hieronim Szczegółka w swojej książce o znanych zielonogórzanach, Mazurkiewicz należał do pionierów życia muzycznego w Zielonej Górze.

Bardzo chciał, aby w mieście powstała orkiestra symfoniczna; pierwsze próby jej utworzenia podejmował już w 1946 r., ale oficjalna data powstania orkiestry, która funkcjonuje jako stowarzyszenie muzyczne, to rok 1956. Mazurkiewicz był prezesem stowarzyszenia, współtworzył również Lubuskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka

Wieniawskiego. Najbardziej widoczny ślad w historii Zielonej Góry, jaki pozostawił po sobie Mazurkiewicz, to muzyka do „Hymnu Ziemi Lubuskiej”, wykonywanego jako hejnał podczas Winobrania.

Mazurkiewicz stanowisko dyrektora szkoły muzycznej pełnił bardzo krótko, bo zaledwie siedem miesięcy, ale jego notatki w kronice szkolnej w sposób szczegółowy przedstawiają ówczesną sytuację szkoły, czego brakuje u jego poprzednika i właściwie nie wiadomo, czy szkoła funkcjonowała dobrze czy źle przez pierwszych pięć lat. Tutaj już nie mamy wątpliwości, że autorem zapisków jest właśnie dyrektor szkoły. Pisze on: „Szkoła znajduje się w stadium reorganizacji, jeżeli chodzi o takie zakresy pracy, jak urzą-



dzanie wewnętrzne i sprawy pomieszczeń, to niestety powiedzieć trzeba, że stan szkoły jest wręcz opłakany". O swoim poprzedniku pisze, że nie szczędził wysiłku, aby postawić „uczelnię” na odpowiednim poziomie, ale stan ogólny pozostawia wiele do życzenia. „[...] na domiar złego, kiedy szkoła [...] została upaństwowiona, Zarząd Miejski w Zielonej Górze zabrał szkole cztery najpotrzebniejsze i najlepsze pokoje, pozostawiając trzy pokoje i komórkę (szerokość 2 m). Nie pomogły sprzeciwy dyrektora Migaszewskiego, na niczym też spłynęły interwencje Ministerstwa oraz województwa – Zarząd Miejski nie okazał dotąd należytego zrozumienia dla potrzeb szkoły. A ponieważ wracamy na nową drogę, wytyczoną przez Rząd Demokratycznej Rzeczypospolitej, muzyka ma się stać rzeczą dostępną dla tych warstw społecznych, dla których była ona w okresie przedwojennym księgą zapieczętowaną”. Dyrektor w sposób bardzo obrazowy przedstawia sytuację szkoły, wyliczając brak podstawowych rzeczy niezbędnych dla prawidłowego funkcjonowania takiej placówki; szkoła nie posiadała sali wykładowej, pokoju dla nauczycieli, pomieszczeń dla kancelarii, „...nie mówiąc już o smutnym fakcie, że kierownik szkoły nie posiada swego kąta...” Do tych wszystkich celów służyła sala fortepianu. Nie było także biblioteki, żadnego podręcznika, „...nie ma żadnych – ale to żadnych! – nut!”. Posiadała natomiast cztery „bardzo liche” pianina i fisharmonię „gwiżdżącą ze wszystkich dziurek”.

Ostatnie słowa zapisane przez dyrektora w kronice szkoły powiały, mimo wszystko, optymizmem: „...bynajmniej nie załamuję rąk, lecz przeciwnie, z uporem zabieram się do pracy i mam nadzieję, że uda mi się wyprowadzić szkołę z tej impasowej pozycji”.

Niestety, nie było dane wykazać się Mazurkiewiczowi, jego plany wcieliła w życie szkoła Stanisława Oleńska, która z dniem 1 sierpnia 1950 r. objęła kierownictwo placówki. Pierwsze słowa nowej pani dyrektor potwierdzają sprawozdanie jej poprzednika: „Stan szkoły przedstawia się beznadziejnie”. Wystarczy ogólna ocena Oleńskiej, aby poznać poziom szkoły: „poziom ogólny dość niski. Uczniowie za wysoko zakwalifikowani. Dużo uczniów nie nadających się do nauki muzyki. Wykłady teoretyczne właściwie nie prowadzone lub prowadzone dorywczo”. Taka sytuacja nie mogła napawać optymizmem, ale mocny charakter nowej pani dyrektor wypisany zdecydowaną ręką w kronice szkolnej, dawał nową szansę szkole.

Już we wrześniu 1950 r. można zauważyć pierwsze zmiany: poszerzone grono nauczycieli, m.in. o sekcję instrumentów dętych oraz podniesiony poziom nauczania, dzięki dojeżdżającym z Poznania wykładowcom. Regularnie z końcem każdego okresu odbywają się popisy uczniów, którzy grają na coraz wyższym poziomie. W roku szkolnym 1950/51 założono bibliotekę (60 książek, 361 nut, zakupiony adapter, 34 płyty). Ponadto szkoła zakupiła nowe instrumenty: cztery fortepiany, trzy pianina, jedną fisharmonię i jeden akordeon.

Od początku objęcia kierownictwa, pani Oleńska podejmuje wielką batalię o przydział nowego pomieszczenia dla szkoły, popartą niezliczoną ilością interwencji ustnych i pisemnych, które długo pozostawały bez jakiegokolwiek odpowiedzi. 28 czerwca 1951 r. p. Oleńska wystosowała pismo do Ministerstwa Kultury i Sztuki o przyznanie odpowiedniego pomieszczenia szkole pod groźbą rezygnacji z dalszego kierowania szkołą. W lipcu tego roku na zebraniu Komisji Lokalowej, na którym obecni byli przedstawiciele szkoły i Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (byli to współlokatorzy szkoły), postanowiono przydzielić szkole I i II piętro w budynku przy ul. Chrobrego 21. 10 sierpnia szkoła obejmuje I piętro, II piętro zajmuje Biblioteka Pedagogiczna, która w najbliższych dniach miała opuścić lokal, co jednak długo nie następowało i decyzja o translokacji biblioteki do budynku przy pl. Matejki została bez jakiegokolwiek uzasadnienia uchylona. Była to kolejna zbrodnia pani Oleńskiej, której poświęciła sporo miejsca w kronice szkolnej.

Mimo tych przeciwności szkoła bardzo intensywnie uczestniczy społecznie w różnego rodzaju akademiach, rocznicach państwowych, organizuje popisy wewnętrzne, darmowo uświetnia uroczystości przedsiębiorstw zielonogórskich, za które w kronice szkolnej umieszczone są niezliczone ilości podziękowań.

Ostatecznie cały budynek przy ul. Chrobrego zostaje oddany do dyspozycji szkoły w 1952 r., czego konsekwencją było zwiększenie liczby uczniów. Poziom szkoły stopniowo wzrasta, tylko niestety, nauczyciele dojeżdżający nocują w klasach w „dość i prymitywnych warunkach”.

Rok szkolny 1956/57 jest początkiem pracy prof. Włodzimierza Słobodziana, absolwenta Akademii Muzycznej w Wiedniu, nad zorganizowaniem zespołu instrumentalnego i przygotowaniem go do występu. Ostatecznie zespół liczy 38 skrzypków, 3 wiolonczelistów i pianistów akompaniujących orkiestrze. Pierwszy publiczny występ zespołu odbył się 2 grudnia 1956 r. w Nowej Soli w Liceum Pedagogicznym dla uczniów szkoły i ich rodziców. Następny występ odbył się dla zielonogórskiej publiczności w teatrze 18 lutego 1957 r. Oprócz zespołu wystąpiła jeszcze Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją Mieczysława Tomaszewicza. Na ten temat ukazywały się wzmianki w „Gazecie Zielonogórskiej”. Grano m. in. „Tempo di Garotta” W. Słobodziana.

W latach 1958-60 szkoła została gruntownie wyremontowana wewnątrz i na zewnątrz. Dochodzą nowi nauczyciele, m. in. Andrzej Kładoczny, absolwent szkoły, który w latach 1962-1983 sprawował funkcję wicedyrektora obydwu szkół.

W 1963 r. powstaje Państwowa Średnia Szkoła Muzyczna II stopnia z siedzibą w budynku przy Alei Niepodległości

ści 21, który wcześniej przeznaczony był na Dom Kultury Dziecka. Na pierwszy nabór zgłosiło się ok. 60 osób. Jak podaje informator o szkole z 1987, Średnia Szkoła Muzyczna powstała między innymi dzięki wytrwałości starszego wizytatora szkolnictwa artystycznego – Edwarda Sienkiewicza, jak również wielu innych działaczy kultury. Uczniami byli głównie muzycy orkiestry symfonicznej, którzy chcieli uzupełniać swoje wykształcenie. Wówczas prowadzono naukę gry na wszystkich instrumentach, z wyjątkiem harfy.

W związku z otwarciem szkoły średniej w „Gazecie Zielonogórskiej” ukazuje się reportaż z życia szkoły. Tego również roku z okazji *Dnia Karty Nauczyciela* wykładowcy otrzymują odznaczenia w obecności władz miejskich, p. Oleńska – Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, a Czesław Buchwald – Złoty Krzyż Zasługi.

Pod koniec 1963 r. w Hali Ludowej odbył się występ zespołu Operetki Szczecińskiej, w której solistą był Mariusz Majewski, absolwent szkoły, o czym również informowała prasa. Rok 64 przyniósł natomiast udział w I Festiwalu Średnich Szkół Muzycznych w Świdnicy, gdzie I miejsce zajęła Małgorzata Gajlesz – klasa fortepianu. Sukcesy szkoły można wyliczać przez kolejne lata trwania placówki, aż do dnia dzisiejszego. Wszystko dokumentuje kronika szkoły zawarta w siedmiu tomach (ósmy zaczęty), ilustrują ją dodatkowo dwa tomy zdjęć. Jednak trzeba powiedzieć, że kronika traci swój osobisty, ciekawy, pamiętnikarski charakter na początku lat 60., kiedy była jeszcze bardziej kroniką dyrektorów, niż szkoły.

Jak podaje informator o szkole muzycznej z 2002 r., jej uczniowie „uczestniczyli i wciąż uczestniczą w wielu prze-

glądach, przesłuchaniach, konkursach i festiwalach zdobywając wielokrotnie tytuły laureatów i wyróżnienia [...]. W programach radiowych, telewizyjnych, na afiszach, obwolutach nagrań znajdujemy bardzo znaczące nazwiska naszych byłych uczniów jak: Barbara Rusin, Ewa Werka (śpiew operowy, nieżyjąca już), Romuald Tesarowicz, Dorota Siuda, Jarosław Żołnierczyk, Dobrosława Siudmak, Paweł Zatorski, Ewa i Aureliusz Golińscy, Mariusz Monczak, Elżbieta Nawrocka, Stefan i Stanisław Czermak oraz wielu innych”, których nie sposób tutaj wymienić. Obecnie faworytką szkoły jest Kasia Wasiak, biorąca udział w międzynarodowych konkursach pianistycznych, zajmując w nich I i II miejsca.

Ponadto „w salach koncertowych możemy usłyszeć praprawkonania kompozycji Darii Dobrochny Kwiatkowskiej, Marcina Bortnowskiego, Tomasza Kienika, Ewy Strelczuk czy Pawła Strzeleckiego.

Znajome twarze absolwentów możemy zobaczyć podczas występów takich orkiestr jak: Filharmonia Zielonogórska, Filharmonia Narodowa, Wielka Orkiestra Symfoniczna Radia i Telewizji, Reprezentacyjna Orkiestra Wojska Polskiego, Orkiestra *Amadeusz*.

Wielu absolwentów podjęło trud nauczania, wracając do swojej szkoły już jako wykwalifikowani nauczyciele i przekazując swoją cenną wiedzę młodszemu pokoleniu, które pokochało muzykę.

Dziś pozostaje życzyć szkole kontynuowania dalszych sukcesów, odnoszonych nie tylko w Polsce, ale i poza granicami kraju.

Na podstawie *Kroniki szkoły i Roczników statystycznych szkoły*.

Ulica Kupiecka

Niedervorstadt, Niedergasse – XVIII-XIX w., Niederstrasse od 1850 r., Pionierska od 1945 r., gen. Karola Świerczewskiego od 18 VI 1948 r. Kupiecka – od 1 II 1991 r.

Ulica Kupiecka powstała na skutek przekształcenia się w ulicę dawnego Dolnego Przedmieścia (Nieder Vorstadt) i taką też pierwotnie nosiła nazwę, do połowy XIX wieku i obejmowała teren od skrzyżowania obecnych ulic Batorego i Dąbrowskiego do zbiegu ulic Żeromskiego i Niepodległości. Obszar położony wyżej aż do obecnej Ulicy Wrocławskiej był jeszcze w XVIII wieku słabo zabudowany. Odcinek ten z racji położenia określany „Przy Fose” był o wiele szerszy i niewątpliwie pełnił także funkcje targowe, w roku 1850 został nazwany Ulicą Świętojańską, a później został włączony do Ulicy Kupieckiej.

Po wojnie ulica została przemianowana na ulicę Pionierską, ta nazwa nie utrzymała się długo, uchwałą z dnia 18 VI 1948 r. nadano ulicy nazwę gen. Karola Świerczewskiego. W 1990 roku ulica otrzymała swą obecną nazwę.

W średniowieczu przez teren ten przechodził trakt od Głogowa w kierunku przepraw na Odrze, jego rozwidlenie to także stare drogi prowadzące do przepraw na Odrze.

Po zbudowaniu Dolnej Bramy ta trasa komunikacyjna stała się podstawowym połączeniem miasta z terenami leżącymi na północ od Odry, tak uczęszczanym, że uważano za celowe umieszczenie na niej rogatki dla pobierania myta (rogatka zaznaczona jest na planie Büttnera u zbiegu ulic Chopina i Batorego). Już pod koniec XVIII wieku dolna część ulicy zwana wówczas Dolnym Przedmieściem posiadała po obu stronach zwartą zabudowę. Właścicielami domów byli kupcy i rzemieślnicy, jedynie naprzeciw ulicy prowadzącej do Dolnej Bramy (obecna ul. Żeromskiego) znajdowały się budynki folwarku. Odcinek górny był wówczas jeszcze słabo zabudowany, ta część ulicy była szersza, przypominała wydłużony plac z kilkoma budynkami po środku. W XIX wieku cała obecna ulica Kupiecka uzyskała obecny charakter ulicy o zwartej, piętrowej zabudowie, a niemal wszystkie partery budynków stały się sklepami.

W latach siedemdziesiątych XIX wieku zbudowano obecną Aleję Niepodległości, jej skrzyżowanie z ulicą Kupiecką stało się głównym węzłem komunikacyjnym północnej części starego miasta. W 1900 roku przebito połączenie obecnego Placu Powstańców Wielkopolskich z obecną ulicą Bohaterów Westerplatte. Po przekształceniu ulicy w deptak, teren ten stał się jednym z najprzyjemniejszych zakątków starówki.

Wiesław Myszkiewicz



Problemy mieszkańców Ziemi Odzyskanych w latach 1945-1956 w świetle pamiętników działaczy ruchu ludowego

*Kiedy wojna została skończona
Na ziemi odzyskane przybyła żona
We wsi Brudzewo odnalazłem rodzinę
I tu w żyznej okolicy przyjąłem dziedzinę
Wspólnie gospodarzyć my zaczęli
Chociaż na gospodarce nic nie mieli
Później od władz krowę, konia my dostali
I tak z całą rodziną hektary uprawiali
Dla Państwa plody ziemi sprzedawali
I z roku na rok się dorabiali.*

Fragment wiersza napisany przez jednego z osadników

Zagadnienia związane z urządzaniem się na Ziemiach Odzyskanych po II wojnie światowej zajmują wiele miejsca, zwłaszcza w pamiętnikach osadników, którzy zdecydowali się osiedlić na tym terytorium. Chociaż mają charakter subiektywny, to ich wartość jest wprost bezcenna, bowiem poruszają szeroki wachlarz problemów, z którymi musieli się borykać ich autorzy (warunki ówczesnej działalności społeczno-politycznej, tragedie osobiste, sprzeciw wobec kolektywizacji). Te krótkie wspomnienia pozwolą lepiej zrozumieć przeszłość Ziemi Odzyskanych.

Jeden z autorów wspomnień zdecydował się „wyjechać na Ziemię Odzyskaną jako osadnik wojskowy” z przyczyn ekonomicznych. Trafił on do Kożuchowa, z którego to „Pełnomocnik Rządu” skierował go do „organizacji urzędu gminnego w Stypułowie”. Zajął się „rozprawdaniem kartek żywnościowych, zboża na siew [...] dla zamieszkałych osadników i ich rodzin. Nie było wówczas – według niego – chętnych do pracy w gminie, chociaż wymogi stawiane kandydatom wymagały ukończenia przynajmniej 7 klas szkoły podstawowej. Ale i takich kandydatów nie było w terenie. Transporty repatriantów i przesiedleńców coraz częściej przychodziły do Kożuchowa i zgodnie ze skierowaniem ich przez Państwowy Urząd Repatriacyjny trzeba było ich osiedlić na wolnym gospodarstwie”. W oczach autora pamiętnika „ludność polska, a szczególnie repatrianci ze wschodu byli bardzo biedni, ale tkwił w nich wielki patriotyzm [...]”. Niektórzy (z nich) wprawdzie nie dowierzali, że tu pozostaną na zawsze, gdyż propaganda zachodnia głosiła, że ziemię tą zabiorą Niemcy [...] toteż siedzieli oni na swych walizkach i myśleli, że wiosną powrócą w swe rodzinne strony. Gdy nadeszła wiosna 1946 roku wszyscy jednak wyszli na pola, aby je

obsiać i obsadzić”. W tym też roku zaczęły powstawać organizacje polityczne. Dzięki pomocy autora powstało „w Stypułowie koło Stronnictwa Ludowego, do którego wstąpiła większość miejscowych rolników. W Borowie Wielkim powstało koło Polskiej Partii Socjalistycznej i SL. Koła SL powstały też we wsiach Borów Polski, Nieciecz, Cisów. Pojawili się również nieliczni członkowie Polskiej Partii Robotniczej”.

„Na wniosek młodzieży wiciowej” został ów pamiętnikarz „powołany i wybrany członkiem Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, a potem desygnowany przez Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Wiejskiej RP Wici na członka Dolnośląskiej Rady Narodowej we Wrocławiu”. W sierpniu 1948 r. zaszły w jego życiu duże zmiany, bowiem przeszedł „do pracy etatowej na stanowisku sekretarza politycznego Zarządu Powiatowego SL w Kożuchowie [...]”. Na tym stanowisku – jak sam przyznał – nawiązał dobrą współpracę z instancjami PPR i PPS, a po zjednoczeniu z PZPR”.

Jako członek Stronnictwa Ludowego brał czynny udział w zakładaniu kół młodzieży wiejskiej Wici. „Dużą pomocą w organizacji kół służyli ojcowie – członkowie SL. Nowo powstałe koła młodzieżowe zajęły się organizowaniem dla młodzieży zabaw, a także przedstawień teatralnych. Na I Zjeździe delegatów kół z całego powiatu powołano Zarząd Powiatowy, w skład którego wszedł” autor wspomnień. „Ponieważ część młodzieży wiciowej przyjęła orientację polityczną z Polskiego Stronnictwa Ludowego nastąpiło rozbięcie w samym Zarządzie Powiatowym”. Wkrótce wziął on udział w konferencji ZMW RP Wici. Po powrocie z niej został powołany na komisarza Prezesa Powiatowego Zarządu Wici w Kożuchowie. Na tym stanowisku z innymi kolegami przeprowadził „tzw. demokratyzację w Wiciach”. W lipcu 1948 roku wziął udział „w Kongresie Zjednoczeniowym we Wrocławiu ale nie jako delegat lecz wolny obserwator. Po powstaniu Związku Młodzieży Polskiej” wszedł „do Zarządu Powiatowego ZMP w Nowej Soli. W tym czasie nie bardzo patrzono na byłych wiciarzy, a niektórzy młodzieżowcy szczególnie [...] ze Związku Walki Młodych wszystkich wiciarzy traktowali jako PSL-owców, przeciwników ustroju”. Dlatego, autor tych wspomnień, zrezygnował z pracy w ZP ZMP. Niedługo potem jako sekretarz powiatowy SL w Kożuchowie wziął udział w budowie spółdzielni produkcyjnej. „W tej sytuacji, nie było więc wieczoru wolnego, żeby nie być wśród rolników na wsi i przekonywać ich do przejścia na gospodarowanie zespołowe. Wprawdzie był to okres tzw. wypaczeń, to jednak z perspektywy już wielu lat” autor stwierdził, „że szkoda, że niektóre z nich tak prędko się rozleciały, gdyż miały już duży dorobek gospodarczy”.

W 1951 roku podjął pracę w Wojewódzkim Związku Samopomocy Chłopskiej na stanowisku kierownika Działu Łączności Wsi z Miastem. Na tym stanowisku organizował „wycieczki rolników do miast i fabryk, aby naocznie ujrzeli ciężką pracę klasy robotniczej i odbudowujący

się kraj, a szczególnie zniszczoną Warszawę, Kraków, Gdańsk, Gdynię, Oświęcim i Wieliczkę”. W 1953 roku na własną prośbę „zostaje zwolniony gdyż nie zgadza się z niektórymi wybrykami ówczesnego prezesa ZW SCH”, który w jego mniemaniu „pracowników traktował jako swych parobków i sługusów”.

Kolejny autor pamiętnika przybył na Ziemię Odzyskaną w 1946 roku i zamieszkał w Lubowie. Podjął „pracę zawodową w charakterze podleśniczego w Nadleśnictwie Kraśnik”. Zdecydował się też na rozpoczęcie działalności politycznej. Dlatego wstąpił do jednego z kół SL. Z czasem koło, do którego należał „umocniło się w ilości członków, ale zarazem przychodziła nieufność do członków gdyż między nimi ktoś był, kto przekazywał do UB co się mówi na zebraniach”. W roku 1949 doszło do zjednoczenia ruchu ludowego, w wyniku którego powstało Zjednoczone Stronnictwo Ludowe. W tej sytuacji autor został skarbnikiem nowego koła ZSL. Jednocześnie miała miejsce – według niego – „pierwsza porażka, bowiem prezes koła Boczków miał [...] piękne gospodarstwo i dobrze gospodarzył. Został jednak podejrzany o reakcję i aresztowany przez UB w Słubicach. Udowodnić mu żadnej reakcji Urząd nie był zdolny, ale jako niepewnemu człowiekowi, zabrano mu gospodarstwo, i z rodziną wywieziono do wsi [...] wówczas niezaludnionej”. Od tego czasu „zaczęła się nagonka na członków ZSL-u ze strony UB, dopatrywano się nielegalnego bogacenia się, po prostu w oczy mówiono, że człowiek, który ma parę koni i kilka krów i trzodę chlewną jest kułakiem niepewnym w ustroju socjalistycznym”. Lata 1950-1956 „zaliczył do lat wielkiego niezadowolenia społeczeństwa, ponieważ „chłopi przeżyli [...] wielki wstrząs życiowy, a tym samym członkowie ZSL. Przeprowadzona reforma z gospodarki prywatnej na gospodarkę uspołecznioną spotkała się z bardzo wielkim oporem chłopów”. Stwierdził też, iż kolektywizacja zakończyła się niepowodzeniem, ponieważ „jeszcze żyło dużo ludzi, przybyłych ze Związku Radzieckiego, którzy znali dobrze gospodarkę w kolchozach”. W roku 1952 jako prezes jednego z kół ZSL autor wspomnień wziął udział w uspołdzielczaniu dwóch wsi. Jego zdaniem „przekonać obywateli do spółdzielni produkcyjnej nie było łatwo, a to z tego powodu, iż ludność ze Wschodu wprost w oczy mówiła, że Wy nie mówicie, namawiając do spółdzielni: pojedźcie do ZSRR i zobaczcie jak ludzie chorują w tych kolchozach, siedzą bez chleba, a ciężko pracują”. Autor przyznał, że o tym fakcie wiedział „lecz nie mógł tego powiedzieć, bo szybko [...] znalazłby się za kratkami”. Dlatego też uczestniczył „całe noce na zebraniach uświadamiających, podczas których czytał broszury [...] a ludzie spali”. Według niego „załączek do spółdzielni produkcyjnej stanowili członkowie PZPR, potem ZSL-owcy, a następnie obywatele bezpartyjni”. W wyniku forsowanej kolektywizacji „ludność wiejska została skłócona”. Przed wstąpieniem do spółdzielni „ludzie zaczęli sprzedawać inwentarz żywy, a do spółdzielni deklarowali 1 krowę, 1 konia”. Na wsi w tym

czasie „odczuwało się wielki lęk ludzi, jeden drugiego zaczął się bać, w rozmowie nie wypowiadało się tego, co człowiek myśli. Na murach gospodarczych jednego z członków ZSL [...] po nocy ukazał się farbą olejną napis – <Kułak wróg Polski Ludowej> tylko dlatego, że miał 4 krowy, 2 konie i 10 ha ziemi”. Podaje on również przykład zastraszania opornych m.in. „jeden z członków ZSL nie podpisał deklaracji. Za co na drugi dzień został zaproszony do UB, a kiedy wrócił do domu szybko podpisał deklarację na członka spółdzielni. Zamknął się w sobie, odpowiadał tylko na pytania, pracował w spółdzielni, aż w końcu się powiesił i tak zakończył życie”. Taki rozwój wydarzeń według autora doprowadził do tego, iż „polityka gospodarcza z każdym dniem zaczęła upadać. Młodzież [...] zaczęła wyjeżdżać do miast za pracą, a na gospodarstwach pozostawali starzy spracowani rodzice, pozostając przy jednej krowie i jednym koniu, aby nie zostać kułakami”.

„Na szczeblu gminnym powstawało tarcie pomiędzy członkami PZPR a ZSL. Członkowie PZPR czuli wyższość i twierdzili oficjalnie, że ZSL jest przyczepą do traktora. Ciężko to było znosić i wyjaśniać na zebraniach, gdy członkowie ZSL-u o tym mówili jak się wypowiadają PZPR-owcy”. Na koniec autor stwierdził, iż „smutne lata mijają w roku 1956, bowiem Władysław Gomułka ponownie dąży do podniesienia gospodarki chłopskiej. Widoczny był ponowny zryw chłopów do gospodarowania, polepszyło się zaopatrzenie. Znowu zapaliło się zielone światło dla rolników, szczególnie można było zauważyć to u członków ZSL. Na wsi życie się ożywiło, coraz częściej młodzież zaczęła urządzać zabawy taneczne”.

Na temat kolektywizacji wypowiedział się jeszcze dwóch autorów pamiętników. Jeden z nich, osadnik wojskowy „za swą postawę i nieustępliwość w realizacji swych poczynań w okresie panującego stalinizmu [...] w Polsce w latach 1952-1953” był represjonowany. Żądano, aby wstąpił do spółdzielni produkcyjnej, która powstała na terenie wsi. Wobec jego odmowy władze ZSL odebrały mu z „tego powodu legitymację członkowską, którą odzyskał dopiero po upadku tego systemu polityczno-gospodarczego”. W Międzyrzeczu na rozprawie został uznany „za wroga Polski Ludowej jedynie dlatego, że nie poszedł do spółdzielni produkcyjnej”. Grożono mu także więzieniem, ale dzięki zasługom wojennym uniknął on „przykrych następstw, które dotknęły innych mieszkańców wsi”. Mimo to, był to dla niego „wstrząs moralny jako starego ludowca i społecznika, ale nie zrażając się tym, po tym okresie przejściowym ponownie” przystąpił do „aktywnej pracy w szeregach ZSL”.

Szerzej w tej materii wypowiedziała się żona nauczyciela mieszkająca w tym czasie na wsi. Stwierdziła ona, że „jednym z wielu wypaczeń w okresie kultu jednostki było określenie chłopstwa mianem: małorolni, średniorolni i kułacy, bowiem mieszkańcy Ziemi Zachodnich mieli możliwość przyjrzeć się każdej z tych warstw”. Według jej obserwacji „wśród małorolnych byli też ludzie, nie

mający nic wspólnego z rolnictwem. Niektórzy z nich chcieli odpocząć i odżywiać się; inni znów zajmowali jakieś budynki poniemieckie, aby tam składować wyszabrowane różne rzeczy z opuszczonych domów, aby następnie wywozić je do centralnej Polski. Byli też w tej grupie rolnicy biedni, ale pracowali uczciwie. Takim pomagała warstwa średniacka i pełnorolna (zwana kułactwem)”.

W 1953 roku autorka przeniosła „się z rodziną do wsi Raclaw gm. Bogdaniec, gdyż jej mąż został wówczas służbowo przeniesiony na miejsce nauczycielki [...], która została przeniesiona do (innej) wsi za to, że ojciec jej nie wyrażał chęci wstąpienia do powstającej spółdzielni produkcyjnej w Raclawiu”. Według niej „w Raclawiu kułaków w ogóle nie było. Chodziło o to, żeby złamać opór chłopów i zmusić ich do wstąpienia do rolniczej spółdzielni produkcyjnej. Dlatego też, bardzo często wieczorami przyjeżdżali z Gorzowa do wsi aktywiści, którzy chodzili po chłopskich zagrodach, a po powrocie urządzali ogólne zebrania, najczęściej w szkole [...]. Coraz głośniejsze w środowisku dały się słyszeć zarzuty, pod adresem miejscowego nauczyciela (jej męża), że to on sprowadza różne władze z powiatu i miejski aktyw, aby niepewnych rolników wpakować w kolchoz. Aktywiści dzielili się na grupy dla odwiedzenia poszczególnych mieszkańców Raclawia, aby przekonać ich o wyższości gospodarki zespołowej nad indywidualną oraz zachęcać do podpisania de-

klaracji członka spółdzielni. Jednocześnie zmuszali do tych wieczornych spacerów po chłopskich zagrodach – miejscowego nauczyciela. Działający w Raclawiu agitatorzy doszli do wniosku, że jeśli szanowany rolnik we wsi wyrazi zgodę na wstąpienie do rolniczej spółdzielni produkcyjnej, to wtedy za nim pójdzie wielu (innych) dobrych rolników. Tak też się stało, ponieważ rolnik taki został zmuszony do podpisania deklaracji, a za nim poszło dalszych kilkunastu chłopów”. W taki sposób „w Raclawiu powstała spółdzielnia produkcyjna”.

„Kiedy jednak do władzy doszedł W. Gomułka i między innymi ogłosił, że słabe, nierentowne spółdzielnie produkcyjne mogą się rozwiązać, spółdzielnia w Raclawiu, natychmiast uległa likwidacji”. Po tym wydarzeniu, „życie toczyło się dalej, ale niejednemu obywatelowi było żal tej olbrzymiej kwoty, która wydana była ze skarbu państwa na dotacje dla utrzymania nierentownych rolniczych spółdzielni produkcyjnych”. Na koniec autorka stwierdziła, iż „to był w ogóle koszmarny, ten czas metod nakazowo – rozdzielczych”.

W cytatach zachowano pisownię oryginalną.

Za życzliwą pomoc i możliwość dostępu do zbiorów archiwalnych wykorzystanych w niniejszym artykule autor pragnie podziękować Pracownikom i Członkom Zarządu Wojewódzkiego PSL w Zielonej Górze.

Daniel Koteluk

Na
rozdrożu
historii

Losy Martina Klose

– założyciela muzeum w Zielonej Górze

Historia zielonogórskiego muzealnictwa liczy osiemdziesiąt lat. W 1922 roku otwarto w naszym mieście po raz pierwszy placówkę muzealną tzw. *Heimatismuseum*, które prezentowało w swych wystawach przeszłość i specyfikę Zielonej Góry oraz mikroregionu zielonogórskiego. Twórcą tego muzeum był dr Martin Klose, przepracowawszy w nim ćwierć wieku. Stworzył on instytucję pod względem merytorycznym i organizacyjnym od podstaw. Był erudyta, humanistą, badaczem i człowiekiem o ogromnej pasji społecznikowskiej. Jako muzealnikowi dane mu było pracować w dwóch odmiennych rzeczywistościach kulturowych i politycznych – najpierw niemieckiej, następnie polskiej.

Martin Klose urodził się w Görlitz 17 listopada 1884 roku. Pochodził z rodziny inteligentkiej. Jego ojciec Paul Klose był nauczycielem. Do szkół uczęszczał w rodzinnym mieście, skąd po maturze udał się na studia do Halle. Studiował tam przez jeden rok akademicki 1903/1904. Następnie pobierał nauki przez cztery lata na Uniwersytecie w Getyndze, gdzie w 1908 roku zdał egzamin wnie- czający studia przed Królewską Komisją Egzaminacyjną. Uzyskał kwalifikacje do uprawiania zawodu nauczyciel-

skiego, z zakresu języka francuskiego i angielskiego pierwszego stopnia, zaś z łaciny drugiego stopnia. Na studiach uczestniczył również w wykładach z historii sztuki. Praktykę pedagogiczną i próbny rok pracy odbył w kilku szkołach, m. in. w rodzinnym Görlitz. Był również na stażu językowym we Francji.

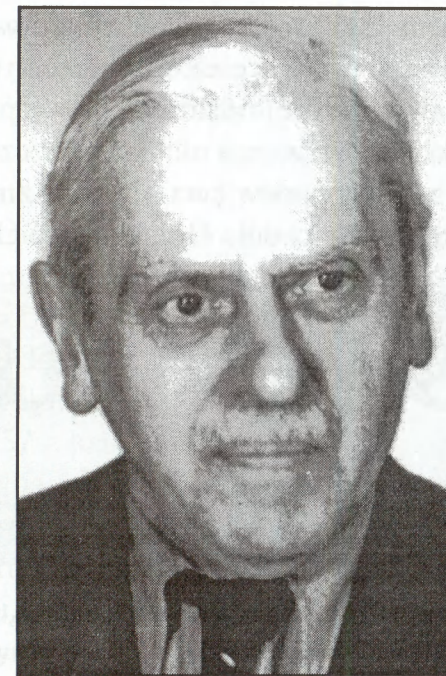
Do Zielonej Góry Martin Klose przybył 1 października 1910 roku, aby podjąć pracę jako nauczyciel w gimnazjum realnym im. Fryderyka Wilhelma. Ożenił się w Getyndze w 1911 roku z Marią Müller. Zainteresowania historią Zielonej Góry wykazywał od samego początku, podejmując badania archiwalne z tego zakresu. Już w latach 1912-1914 pojawiają się jego publikacje, w których wypowiada się na temat historii nazwisk zielonogórskich rodzin. W tym czasie podejmowane są też pierwsze próby zorganizowania w Zielonej Górze muzeum, w oparciu o przekazaną miastu w 1908 roku kolekcję prywatną. W 1915 roku Klose uzyskał stopień doktora filozofii nadany przez Uniwersytet w Getyndze. I wojna światowa przerwała jego prace badawcze i aktywność na rzecz rozwoju kulturalnego miasta. W 1916 roku powołano go do służby wojskowej i po przeszkoleniu wysłano na front wschod-

ni. Po wojnie powraca do Zielonej Góry i kontynuuje zapoczątkowaną wcześniej działalność.

Dojrzałe lata jego życia wypełnione były pracą z zakresu różnych dziedzin. Wykonywał jednocześnie wiele czynności i sprawował kilka funkcji, z których część miała bezinteresowny społeczny charakter. Obok podstawowego zajęcia w zawodzie nauczycielskim, połączonego od 1920 roku (przez blisko dziesięć lat) z prowadzeniem uniwersytetu ludowego – *Volkshochschule*, działał w towarzystwach kulturalnych, mających na względzie ochronę znalezisk archeologicznych oraz innych zabytków związanych z przeszłością Zielonej Góry i okolic, w konsekwencji zmierzających do powołania w mieście rodzi- mej placówki muzealnej. Jako mąż zaufania zielonogórskiego Towarzystwa Ochrony i Pielęgnacji Tradycji Regionalnej desygnowany został przez Zarząd Muzealny do zorganizowania muzeum, które zostało otwarte 4 czerwca 1922 roku, dla upamiętnienia jubileuszu siedemsetle- cia miasta. Prowadził on instytucję z dużym zaangażowaniem przez ponad dwadzieścia lat (przy czym pracę swą traktował jako honorowe, nieodpłatne zajęcie). Pracując cały czas jednoosobowo stworzył muzeum na sto- sunkowo wysokim poziomie merytorycznym. Wymaga- ło to wszechstronnej wiedzy z zakresu wielu dyscyplin naukowych. W 1933 roku został także kierownikiem archiwum miejskiego. Ponadto nieustannie zajmował się pisarstwem, publikując wiele artykułów na temat zabytków i muzeum zielonogórskiego, głównie w lokalnych periodykach, takich jak „Grünberger Blätter” i „Grünberger Hauskalender”.

W przedwojennej Zielonej Górze Martin Klose był postacią powszechnie szanowaną. Działalność na wielu polach przysparzała mu dużej popularności wśród zielo- nogórczan. Przyjaźnił się z artystami – malarzami, aktorami, muzykami, których również gościł w swoim domu. Życie rodziny (żony oraz dwóch córek – Irmgard i Waltraud) w znacznej mierze koncentrowało się wokół jego pasji muzealnych i artystycznych. Dom był miejscem, gdzie zwoził z okolic różne zabytkowe przedmioty, aby je tam poddać konserwacji, obfotografować i przygotować do ekspozycji. W gronie rodzinnym często grywał na fortepianie.

Pomimo zmienionej sytuacji politycznej w 1945 roku Klose pozostał w mieście, aby chronić zbiory muzealne w obliczu zagrożenia działaniami wojennymi. Zatrudnio- ny został następnie przez polskie władze miejskie na stanowisku kustosa w muzeum, które przemianowane zo- stało z poniemieckiego na polskie. Przydzielono mu do pomocy tłumaczkę Eugenię Łychowską (później awan- sowaną na stanowisko kierownika muzeum), która zwraca- ła się do niego z dużym szacunkiem, korzystając z jego wiedzy i doświadczeń w prowadzeniu instytucji. Uczest- niczył w przygotowaniach do otwarcia wystaw muzeal- nych, które po raz pierwszy udostępnione zostały społec- zeństwu polskiemu 1 czerwca 1946 roku. Nie zaproszo- no go jednak na uroczystości inauguracyjne działalności wy- stawienniczą muzeum. Miało to zapewne związek z jego niemiecką narodowością, z powodu której nie zapropo-



Martin Klose, Brema, 1960.

nowano mu również funkcji kierowniczej. Kilkakrotnie przesiedlany był wraz z rodziną do coraz to gorszych lo- kali mieszkaniowych. Pomówiony o przynależność pod- czas II wojny światowej do organizacji nazistowskiej i wrogą działalność wobec polskiej kultury w okresie po- wojennym, wysiedlony został w połowie 1947 roku do Niemiec.

Po wyjeździe z Zielonej Góry (pozostawiwszy stwo- rzone przez siebie muzeum) mieszkał przez dwanaście lat w miejscowości Worbis (na terenie NRD). Pomimo, że powrócił do zawodu nauczycielskiego (co stanowiło główne źródło utrzymania) nie zarzucił muzealnych za- interesowań. Zorganizował tam bowiem ekspozycję o charakterze izby muzealnej. Pierwotnie pragnął powró- cić do Getyngi. W 1960 roku po otrzymaniu zezwolenia od władz niemieckich przeniósł się do Bremy, gdzie prze- bywała jego córka Waltraud Müller, a rok wcześniej zmarła jego żona. W Bremie mieszkał do końca życia. Napisał tam swoje wspomnienia o muzeum zielonogórskim z cza- sów kiedy je organizował i prowadził. Martin Klose zmarł 9 sierpnia 1975 roku nie doczekawszy jubileuszu 91 lat.

Biogram Martina Klose opracowany został w oparciu o jego wspomnienia napisane po latach (M. Klose, *Das Grünberger Heimatismuseum*, „Grünberger Wochenblatt”. *Mitteilungsblatt für die früheren Bewohner der Stadt und Kreises Grünberg in Schlesien*, nr 2 i 3, 1970) oraz infor- macje zawarte w Grünberger Lexikon (przygotowywany do druku przez B. Claude` i A. Kutschelisa). Cennych informacji na temat losów bohatera dostarczył wywiad przeprowadzony przez autorkę w maju 2002 roku z jego córką Waltraud Müller (która przyjechała po raz pierw- szy po 55 latach do Zielonej Góry, na zaproszenie dyrek- cji Muzeum Ziemi Lubuskiej z okazji 80. rocznicy Mu- zeum).

Anno Ciosk

27 kwietnia 2002 roku na cmentarzu w Czerwiesku miała miejsce ekumeniczna uroczystość, podczas której odsłonięto dwie pamiątkowe tablice. Pierwsza z nich, umieszczona na frontonie kaplicy poświęcona została zmarłym kawalerom odznaczenia Honorowego Obywa-

mra Hubala, pierwszej w Polsce partyzantki. W lasach spalskich udzielał posługi kapłańskiej rannemu Tadeuszowi Madejowi. Początkowo opieka nad rannym Madejem przemieniła się w posługę i pomoc dla innych żołnierzy oddziału. Ksiądz organizował zaopatrzenie w pa-

Ksiądz Ludwik Mucha

(1904-1962)

kapelan majora Hubala

tela Miasta i Gminy Czerwieskie, druga, na grobowcu rodziny Brunzelów upamiętnia wszystkich zmarłych mieszkańców gminy Czerwieskie, którzy żyli przed rokiem 1945. Tego samego dnia tytuł Honorowego Obywatela Miasta i Gminy Czerwieskie nadano pośmiertnie księdzu Ludwikowi Musze, legendarnemu kapelanowi oddziału mjr Henryka Dobrzańskiego ps. Hubal. Warto więc przybliżyć postać dawnego proboszcza tej podzielonogórskiej miejscowości.

Ksiądz Ludwik Mucha urodził się w 1904 roku we wsi Smronów w powiecie miechowskim. Był najstarszym z siedmiorga rodzeństwa biednej, chłopskiej rodziny. Pierwszy etap edukacji zakończył zdaniem matury w gimnazjum prowadzonym przez księży pijarów w Krakowie. Następnie kontynuował naukę wstępując na Uniwersytet Jagielloński, gdzie w 1928 roku skończył studia teologiczne i filozoficzne. W latach 1928-32 ks. Mucha wyjechał do Francji, przebywał w Paryżu, jako nauczyciel dla emigracji, studiując jednocześnie w Instytucie Katolickim. Tam też 11 maja 1932 roku przyjął święcenia kapłańskie, jako członek Kongregacji Św. Filipa Mereusza. Po powrocie do kraju zamieszkał w klasztorze księży Filipinów w Gostyniu, następnie w 1938 roku w filii klasztoru w Studziannie koło Opoczna.

1 września 1939 roku wybuchła II wojna światowa, która księdza Muchę zastała w parafii Białaczewo. W listopadzie 1939 r. ks. Mucha po raz pierwszy zetknął się z oddziałem

pierosy, słodycze, i co najważniejszej mapy. Już w grudniu 1939 roku wyraził chęć wstąpienia do oddziału. „Idę do tych ludzi, w las, bo czuję, że to mój żywioł”. Owe postanowienie spotkało się z przychylnością dowódcy. Jak wspominał ksiądz, „Hubal cieszył i się z mojego przyjazdu. Nie chodziło bowiem o jednego żołnierza więcej, ale o prestiż oddziału Wojska Polskiego, mającego dowódcę, oficerów i kapelana. Niemcy nie mogli już mówić, że oddział jest bandą rozbójników”. W dzień przysięgi celebrował uroczyste nabożeństwo dla całego oddziału.

Major traktował jednak księdza inaczej niż pozostałych członków oddziału. Nie przydzielał mu służb, nie obarczał dodatkowymi, uciążliwymi niekiedy dla innych obowiązkami. Jeśli ks. Mucha wyjeżdżał na patrol, czynił to na własną prośbę. Jedynym zadaniem było niesienie posługi kapłańskiej oddziałowi. „Ale major – wspominał ksiądz – cenił mój udział w oddziale. Jak przeżyjemy, mawiał, dostaniesz Virtuti, bo nie lada odwagę mieć trzeba żeby przystać do takich jak my”. Mówione przez majora Dobrzańskiego niejako z przekorą słowa o Virtuti spełniły się jednak. Ksiądz odznaczony został faktycznie za swoją służbę w konspiracji krzyżem Virtuti Militari V klasy.

Zniknięcie księdza Muchy z klasztoru Filipinów w Studziannie nie uszło uwagi Niemców. Zastosowali oni wobec zgromadzenia represje, po Wielkanocy 1940 roku rozpoczęli także aresztowania wielu księży.

Demobilizację oddziału przeżył najbardziej ze wszystkich. Na odprawie, łamiącym się ze wzruszenia głosem, oświadczył, że nie zdejmie munduru i pozostanie z oddziałem nawet w najtrudniejszych chwilach. W czasie Wielkanocy 1940 roku odprawił uroczystą mszę dla ludności i wojska, wygłaszając przy tym podniosłe kazanie. Podczas walk pod Huciskiem udzielał ostatniego namaszczenia umierającym. Żołnierze jednak spostrzegli, że ksiądz do najodważniejszych nie należał. Przed strachem ratował się, „zaglądając do butelki”. Jednak nie można mu zarzucać, jak czynili to inni, że był tchórzem. Podczas przebijania się z okrążenia w nocy z 2 na 3 kwietnia 1940 roku koń kapelana otrzymał od Niemców postrzał w głowę. Ktoś jednak wymyślił historię, że z powodu strachliwości księdza, on sam wpakował kule w głowę konia. Opowieść ta obrosła legendą, z którą ks. Mucha walczył przez wiele lat. „Wańkowicz pisze – bronił się ksiądz – że zastrzeliłem konia. Może to brzmi literacko. Dowcipnie. Ale to nieprawda. Koń został ranny przez Niemców. Potknął się, padł. Biegłem i po śniegu i wzywałem pomocy. [...] Wańkowicz zrobił ze mnie wariata. Bałem się. Pewnie, że się bałem. Czy ja jeden? Można odgrywać bohatera bez lęku, zbierając wiadomości o wojnie, trudniej być takim w pierwszej linii walki”.

Wkrótce kapelan zachorował na tyfus. Tracąc przytomność poprosił majora o pozostawienie go w gajówce Zabrody koło Oleszna u Stanisława Włodarskiego. Nie chciał być ciężarem dla oddziału. Tak wspominał ten trudny dla niego czas. „Po szarzy pod Mniowem była ze mną kłapa. To prawda. Ale wszyscy byliśmy wyczerpani, głodni. Odżywialiśmy się śniegiem. Dostałem wysokiej gorączki, zacząłem majaczyć. Tak, musiałem wtedy odejść”. Ksiądz został przewieziony do majątku Lachowskich w Pobrzy, gdzie przez kilka tygodni powracał do zdrowia. Wkrótce wrócił w rodzinne strony.

Nie zrezygnował jednak z konspiracji. W połowie 1943 roku ksiądz Mucha podjął czynności kapłańskie w oddziale leśnym AK zgru-

powania „Żelbet” w rejonie Ojcowa, następnie w połowie września 1943 w batalionie „Skała”. Używał pseudonimu „Pyrka”.

Po zakończeniu wojny, w randze podpułkownika, wrócił na krótko do rodzinnej wsi, stamtąd wyjechał do Krakowa. Po pobycie w tym mieście, wyjechał, jako jeden z pierwszych, na Ziemię Zachodnie, gdzie pełnił obowiązki kapłana w kilku miejscowościach.

W okresie od 28 grudnia 1952 do 28 czerwca 1957 r. ksiądz Ludwik Mucha był proboszczem parafii Czerwieskie. W pamięci parafian pozostał jako kapłan „niezwykle przystępny, otwarty na innych i gotowy nieść pomoc każdemu, kto jej potrzebował”. Był człowiekiem dobrym z natury i wierzył w dobro. Potrafił na różne sposoby jednać sobie ludzi, zdobywając w ten sposób ich zaufanie. Udało mi się dotrzeć do relacji jednego z mieszkańców Płotów, który wspominał, że często wpadał do księdza Muchy na „kielonka”, grał też z nim w karty. Ksiądz lubił brydza, w którego jeszcze w czasach partyzantki grywał z samym majorem Hubalem. Jednak niewielu mieszkańców wiedziało o przeszłości księdza. Czasem nie sprzyjały prowadzeniu swobodnych rozmów na ten temat. Jedyny wywiad, jakiego udzielił skończył tak: „starych druhów z wdzięcznością wspominam, za pomordowanych w Gałkach i Hucisku pacierze codziennie odmawiam”.

Od 1957 roku dawny kapelan mjr Dobrzańskiego był księdzem w parafii Konradowo. Zmarł 16 lutego 1962 roku w Starych Drzewcach, niewielkiej wsi koło Wschowy. W swoim testamencie napisał: „Po śmierci mam być pochowany w prostej, zbitej przez wiejskiego stolarza z nieheblowanych desek trumnie [...]. Żadnych pomników, ani marmurowych grobów. Tak jak wszyscy”. Jego ciało spoczęło w grobie rodzinnym w Czaplach Wielkich.

Na pamiątkę posługi kapłańskiej w Czerwiesku, ulica, przy której mieści się plebania parafii rzymskokatolickiej, nazwana została imieniem księdza Ludwika Muchy.

Raport sporządzony przez Johannesa Otte, ur. 31 marca 1880 r.
dyrektora Browaru Zamkowego w Zielonej Górze

cz. II Ucieczka z Zielonej Góry

Nawet jeżeli podczas mojego okresu aresztowania nie korzystałem z żadnych specjalnych przywilejów – jadłem to samo co każdy inny więzień i pchałem wraz z innymi wóz, to jednak urzędnicy okazali mi trochę zrozumienia. Szczególnie adwokat Thomas z Głogowa, który rozmawiał ze mną często i okazywał mi swoje współczucie. Ponieważ jednak moja sprawa była w rękach prokuratora, adwokat ten nie mógł dla mnie nic zrobić. Często rozmawiali ze mną także strażnicy, Fiebig i Lehrfeld, których znałem jeszcze z Zielonej Góry. Pierwszy z nich dał mi podczas ostatniego marszu dwie posmarowane i obłożone mielonym mięsem kromki chleba – delikates, który chciałem połknąć.

Sam się sobie dziwię, jak dobrze w sumie przetrwałem ten okres. Wszystko to było przecież poniżej ludzkiej wytrzymałości. W Żaganiu dostałem tylko dwa koce i jedną miskę na jedzenie, a następnego dnia ręcznik. Wydobywanie pożywienia z miski trwało nieraz godzinami, ponieważ nie miałem łyżki, a także noża. Łyżkę, dopiero w ostatnich dniach mojego uwięzienia, znalazłem na drodze.

Najgorsze z całego tego okresu były warunki w jakich przychodziło załatwiać potrzeby fizjologiczne. Nie wolno było wychodzić i potrzeby te załatwiano się w ciasnym pomieszczeniu, które służyło także do jedzenia i spania. Kubły na odchody przeznaczone były dla czterech ludzi, ale w pomieszczeniu znajdowało się ich od 11 do 13. Dochodził do tego niesamowity smród, a w nocy ciągle przyskadzano sobie nawzajem i deptano po współwięźniach. Z rzadka tylko można się było umyć. O umyciu zębów należało zaś w ogóle zapomnieć. Strażnicy więzienni musieli sporo się napracować gumowymi pałkami, aby zaprowadzić nad tym całym towarzystwem. Oczywiście było też, że język jakim posługiwali się więźniowie, nie zawsze nadawał się do użycia w salonach. Większość uwięzionych stanowili cudzoziemcy, głównie Czesi, Polacy i Flamandowie, których zatrzymywano przeważnie za przestępstwa polityczne. Wielu z nich siedziało od miesięcy bez wyroku. W moim otoczeniu było 5 Flamandów, wykwalifikowanych mechaników samochodowych, wspaniałych ludzi. Aresztowano ich przed kilkoma miesiącami, kiedy to podczas przemarszu Anglików przez Belgię słuchali zagranicznej stacji radiowej, chcąc dowiedzieć się jak wygląda sytuacja w ich kraju.

Już w Żaganiu, ale także podczas podróży, mówiono nam, że po dotarciu do miejsca zakwaterowania, przewidywane są liczne zwolnienia z więzienia. W areszcie w Zielonej Górze oddałem wszystkie swoje rzeczy i nie posiadałem niczego poza chustką do nosa i okularami. Pie-

niądze, dowody tożsamości, kartki na żywność, książeczka oszczędnościowa itd. pozostały w Zielonej Górze. Tak więc siedziałem w Hoyerswerda bez jakichkolwiek środków, dokumentów czy kartek żywnościowych.

Rano, 19 lutego (poniedziałek) zostałem wywołany z celi. Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy zobaczyłem przed sobą piwowara z naszego browaru. Oznajmił mi, że Zielona Góra została ewakuowana 14 lutego. On sam, wraz z całym wydziałem samochodowym i wszystkimi samochodami, jakie były do dyspozycji, udał się do Hoyerswerda. Z naszego zespołu, poza piwowarem, Zieloną Górę opuścili wtedy: inspektor Dittman z żoną i trojgiem dzieci, mistrz Müller z synową i jej matką, ekspedient Nauwald z synem, dwoma synowymi i ich dwojgiem dzieci, szofer Padligur, pani Steich i Francuz Texier. Wszyscy następnie znaleźli się u właściciela browaru, pana Rotche.

Gdy jako jednego z pierwszych zwolniono mnie z więzienia, udałem się niezwłocznie do pana Rotche, gdzie odnalazłem całe towarzystwo. Na miejscu poprosiłem przede wszystkim o kąpiel, którą zaraz mi przygotowano. W międzyczasie piwowar i pani Kretschmar doprowadzili do porządku mój płaszcz, ubranie i buty. Jednak samo czyszczenie szczerką nie wystarczyło, należało wszystko porządnie wytrzeć – tak bardzo zakurzone były moje rzeczy. Po ostatnich przeżyciach, gorąca kąpiel była wyjątkową rozkoszą, jak również zajęcie miejsca przy nakrytym stole. Państwo Rotche przyjęli mnie bardzo serdecznie i przeznaczyli dla mnie swój najlepszy pokój. Gospodarz zaszerwował mi na powitanie kufel piwa – to była nadzwyczajna przyjemność móc wypić coś takiego. Na obiad podano jednodaniowy posiłek, ale z mięsem, zaś do kawy z pełnym mlekiem poczęstowano mnie czterema rogalikami własnego wypieku, nadziewanymi musem. Poza tym podano chleb ze smalcem i słone ciasto. Kiedy wszystkie te wiktuały ustawiono przede mną, pomyślałem, że nie będę w stanie ich wszystkich zjeść. Kiedy jednak się z tym uporałem, poczęstowano mnie jeszcze kawałkiem ciasta z kruszonką.

Dzięki Bogu pani Kretschmar, wiedzioną przecuciem tych wszystkich nieszczęść, kazała przekazać piwowarowi moje wartościowe rzeczy. Piwowar najpierw chciał pozostawić je wszystkie w sejfie, ale pani Kretschmar przekonała go, że w takim wypadku już ich nigdy nie zobaczę i że należy je zabrać z sobą, a później znajdzie się sposób i środki, aby przesłać mi je do Köthen. Niestety piwowar nie zdołał przywieźć mi dwóch walizek, które przekazałem mu przed aresztowaniem, a które zawierały najpotrzebniejszą odzież. Zostawił je bowiem w schronie (piwnicy).

Jako, że nie mogłem wrócić na razie do Zielonej Góry,

chciałem jak najszybciej dostać się do Köthen. Podjęte przez pana Rothe i mistrza Müllera próby znalezienia dla mnie jakiegoś auta niewiele przyniosły. Mimo, że państwo Rothe zapraszali mnie serdecznie do wzięcia udziału w mającym odbyć się następnego dnia świniobiciu, odmówiłem i postanowiłem udać się kolejnego dnia rano pociągiem o godz. 4.39 do Köthen. Piwowar z całą rodziną państwa Dittmanów wyjechał już wcześniej samochodem do teścia pani Kretschmar. Stamtąd zamierzał udać się pociągiem przez Czechy do rodziców, którzy mieszkali w Górnym Palatynacie.

W dzień odjazdu wstałem już o 3 rano. W drodze na dworzec usłyszałem alarm przeciwlotniczy, co stało się powodem opóźnienia pociągu o 3 godziny. Później okazało się, że mój przedział był całkowicie zapchany uciekinierami. Mniej było samych podróżnych, co niesamowitych ilości wiezionego przez nich bagażu. W takich warunkach jechaliśmy powoli naprzód. Mimo, że odległość wynosiła tylko 75 km, potrzebowaliśmy na jej pokonanie aż 9 godzin, ponieważ pociąg zatrzymywał się wielokrotnie w szczerym polu. Tak było do miejscowości Falkenberg, po czym pociąg jechał już szybciej, jak w czasach pokoju. O godz. 17.00 byliśmy w Dessau, gdzie na peronie spotkałem ciocię Lies Kniestadt, która szalenie ucieszyła się, widząc mnie w jak najlepszym zdrowiu. Około 18.30 dotarłem do Bethgas, radość z mojego przyjazdu była obustronna.

Opisałem ci szczegółowo moje przeżycia, ponieważ musiałem sporo znieść. Panu Gehaimratowi (tajnemu radcy) możesz przekazać, co konieczne.

O losie innych zielonogórzan dowiedziałem się w Hoyerswerda. Curt Reutsch zastrzelił się wraz z żoną po wejściu Rosjan do Zielonej Góry. Już podczas mojej ostatniej u niego wizyty dawał do zrozumienia, że nie zniósłby opuszczenia swojego pięknego domu i konieczności dostosowania się do nowych warunków.

Napiszę do piwowara, aby przyjął panią Müller-Rückforth i spróbował znaleźć dla niej jakieś lepsze miejsce.

PS.

Uważam za stosowne opowiedzieć w kilku słowach o okolicznościach, w wyniku których znalazłem się w posiadaniu listu Johannesa Otte. Otóż na przełomie roku 1946, ówczesna dyrekcja zielonogórskiego Browaru Zamkowego wydała swoim pracownikom polecenie uporządkowania, tj. posegregowania lub zniszczenia, nieprzydatnych dokumentów poniemieckich. Dokumenty uznane przez pracowników za zbędne komisyjnie niszczone przez spalanie w zakładowej kotłowni.

Dowiedziawszy się o tym, postanowiłem pójść do kotłowni i z pomocą ówczesnego palacza, pana Antoniego Zielonego, wyszukiwałem w tej „makulaturze” dokumentację techniczną browaru oraz prywatną korespondencję i zdjęcia rodziny J. Otte. Uzyskane w ten sposób dokumenty spakowałem w paczki, które opatrzyłem napisem „Dokumenty niemieckie browaru”, zaś prywatne listy i zdję-



Pierwszy z prawej strony stoi Johannes Otte.

cia zabrałem do mojego mieszkania (znajdującego się na terenie browaru) z myślą, iż może los zrządzi, że po latach spotkam właścicieli tych pamiątek i byłych lokatorów domu, w którym obecnie mieszkalem wraz z rodziną.

Pod koniec lat 80-tych odwiedził mnie dawny sąsiad i kolega pan Piskorz wraz ze znajomym Niemcem, którego poznałem jeszcze przed wojną. W czasie ich wizyty przypomniałem sobie o starych zdjęciach rodziny Otte i pokazałem je gościom. W pewnej chwili nasz niemiecki znajomy oświadczył, że zna ze szkoły dziewczynę, która była na jednym ze zdjęć. Była to córka Johannesa Otte. Nie pamiętał jednak jej obecnego adresu. Poprosiłem go więc o odszukanie adresu tej osoby wiedząc, że ludność wysiedlona z Zielonej Góry mieszka obecnie w Niemczech w zwartej grupie. Mój gość zgodził się i obiecał pomoc. Po pewnym czasie otrzymałem list od córki J. Otte, która po mężu nosiła nazwisko Böhm. Przekazałem tej pani kilka reprodukcji posiadanych zdjęć, za które była bardzo wdzięczna. Tak zaczęła się nasza korespondencja, która trwała wiele lat. Na początku 1995 r. zaprosiłem panią Böhm wraz z mężem do Zielonej Góry. Gościliśmy u nas jej rodzinę od 16 do 20 maja 1995 r. Widok obecnej Zielonej Góry zrobił na nich duże wrażenie, byli zachwyceni deptakiem, cmentarzem, rozbudową miasta, jego czystością i piękną zielenią. Przy pożegnaniu państwo Böhm przekazali mi list od pana J. Otte i inne dokumenty tej rodziny. Natomiast ja, na pamiątkę tego spotkania podarowałem naszym gościom widok Zielonej Góry z napisem:

*Nasze miasto żyje
15:februar 45
luty
Grünberg i/Sch – Zielona Góra
Unsere Stadt Lebt
Zum Andenhen
An unser Trefen
16-20 Mai 1995
Na pamiątkę naszego spotkania
16-20 maja 1995 r.*

Stanisław Pralat

Grzegorz Chmielewski

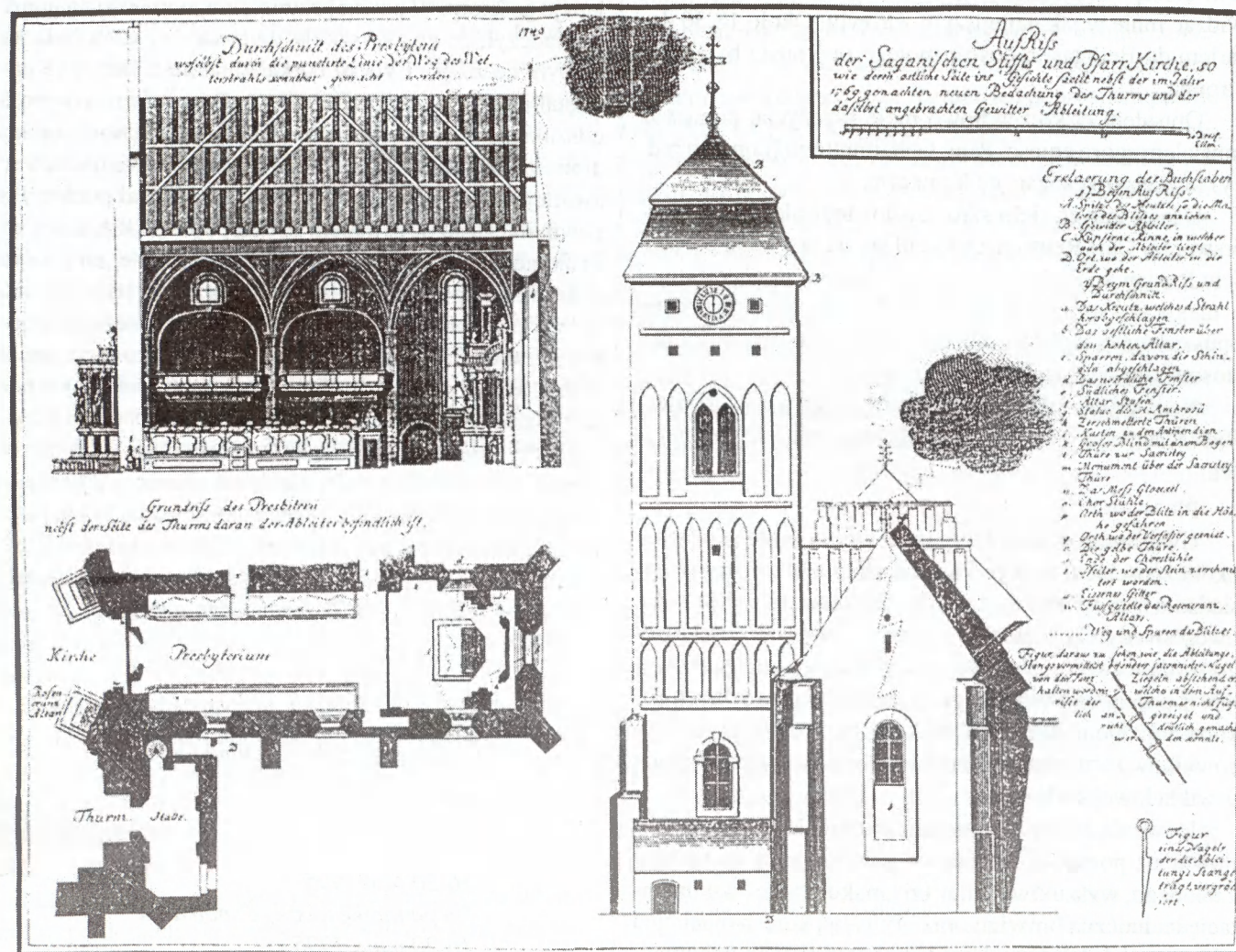
Czy Jan Ignacy Felbiger zaprojektował piorunochron na wieżę kościoła św. Jadwigi?

W 1769 r. mieszkańcy Żagania byli świadkami wydarzenia, które zyskało rozgłos nie tylko w tym szacownym grodzie, lecz nawet poza granicami Śląska. Oto według projektu wybitnego uczonego, Jana Ignacego Felbigera, opata miejscowego klasztoru kanoników regularnych (augustianów), a nawet pod jego bezpośrednim nadzorem, zainstalowany został na wieży kościoła parafialnego piorunochron – w 17 lat po jego wynalezieniu przez Beniamina Franklina, prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Felbiger (1724-1788), głogowianin z urodzenia, jest znany przede wszystkim jako pedagog i reformator szkół ludowych na Śląsku w dobie Oświecenia. W tej dziedzinie posiadał niewątpliwie największe osiągnięcia, zarówno teoretyczne – wyrażające się w opublikowaniu kilkunastu prac pedagogicznych i podręczników, w tym katechizmów i elementów w języku polskim i niemieckim – jak i praktyczne, o których świadczą jego dokonania reformatorskie.

Mniej znany jest natomiast dorobek żagańskiego opata w zakresie nauk przyrodniczych i jego publikacje dotyczące występowania w przyrodzie elektryczności, czy nowatorska metoda pomiaru wysokości Karkonoszy. Nieobca była mu również kartografia, był bowiem współtwórcą mapy śląskiej sieci parafialnej. Cechą znaną umysłowości Felbigera była wszechstronność zainteresowań oraz łączenie teorii z praktyką.

Bodźcem do zaprojektowania i wykonania w Żaganiu nowatorskiej instalacji odgromowej była pamięć o szkodach, jakie w 1749 r. wyrządził piorun, który uderzył w żelazny krzyż wieńczący ścianę szczytową prezbiterium. Swoje doświadczenia wyniesione z projektowania żagańskiego piorunochronu zawarł Felbiger w traktacie pt. *Sztuka zabezpieczenia przez założenie piorunochronu wież i innych budynków przed szkodliwym działaniem pioruna* (w języku niemieckim). Na dołączonej do publikacji, starannie wyko-



Dokumentacja instalacji piorunochronu, droga jaką przebył piorun w 1749 r., uderzając w krzyż wieńczący ścianę szczytową prezbiterium kościoła żagańskiego.



FRANKLIN. Prezydent Stanów Zjednoczonych, wynalazca piorunochronu (Litografia z 1836 r.).

nanej miedziorytniczej dokumentacji projektu, pokazuje drogę, jaką piorun przedostał się do wnętrza prezbiterium kościoła oraz sposób i kierunek poprowadzenia piorunochronu. Żelazny krzyż, do którego podłączył przewód, umieścił w najwyższym punkcie budowli – na przykościelnej wieży. Obok rzutu poziomego i przekroju pionowego prezbiterium oraz widoku kościoła od wschodu (z uwzględnieniem wieży), umieścił dokładną legendę z tekstem objaśniającym, a nawet rysunek haków, podtrzymujących przewód piorunochronu.

Gdy podobne do żagańskiego nieszczęście przytrafiło się (zresztą już po raz piąty) wieży kościoła św. Jadwigi w Zielonej Górze, rażonej piorunem 5 czerwca 1783 r., miejscowe władze zwróciły się do żagańskich mnichów o zabezpieczenie nowo wyremontowanej wieży kościelnej przez zainstalowanie piorunochronu.

Do tego momentu relacje o założeniu pierwszego w Zielonej Górze piorunochronu są w piśmiennictwie zgodne. Rozbieżności powstają, gdy przychodzi nam odpowiedzieć na pytanie, komu nasze miasto zawdzięcza założenie nowatorskiej (na owe czasy) instalacji. Tadeusz Dzwonkowski w popularizatorskiej monografii *Parafia pw. Św. Jadwigi w Zielonej Górze* wymienia jako jej twórcę samego Jana Ignacego Felbigera. Zafascynowany sławą tego uczonego nie dostrzegł, że opat żagański już od wielu lat nie przebywał w klasztorze. Wyjechał bowiem wcześniej do Wiednia, powołany w 1774 r. przez życzliwą mu cesarową Marię Teresę na stanowisko dyrektora szkół elementarnych w monarchii austriackiej, a po jej śmierci, odsunięty od szkolnictwa przez cesarza Józefa II, objął w 1782 r. probostwo w Bratysławie, gdzie zmarł w 1788 r.

Bezpośredni udział Felbigera w zainstalowaniu zielonogórskiego piorunochronu należy więc wykluczyć. Mnicha, który udzielał wskazówek przy jego wykonaniu i instalowaniu, wymienia z nazwiska M. Effner, niemiecki monografista zielonogórskiej parafii, pracy już sędziwej, lecz opartej na bogatych materiałach źródłowych. Był nim augustianin Preis. Według jego wskazówek wykonany został przez kowala Helbiga przewód oraz potrzebna do jego umocowania odpowiednia ilość haków. Sam przewód założył natomiast na wieży kościoła cieśla Knechtel 28 maja 1784 r., a więc 15 lat po zainstalowaniu piorunochronu w Żaganiu.



Opat klasztoru augustianów w Żaganiu. Zaprojektował pierwszy na Śląsku piorunochron na wieżę kościoła parafialnego w Żaganiu (Miedz. G.P. Nusbiegela, 3 ćw. XVIII w.).

Preis w swej pracy nadzorcy i instruktora posługiwał się niewątpliwie wzorcem Felbigera – modelowym rysunkiem wykonanym dla potrzeb kościoła żagańskiego, który zachował się do naszych czasów w XVIII-wiecznym żagańskim kopiarzu-albumie.

Piorunochron Preisza dobrze służył kościołowi do 1827 roku, w którym rozebrano helm wieńczący wieżę ze względu na jego zły stan, mocno nadwerżony wichrami i zagrażający bezpieczeństwu wiernych. Zanim przykryto wieżę nowym kopulastym helmem, nadbudowano jej korpus o 11 metrów, w związku z czym jej wysokość zwiększono do 35 metrów, a wysokość całkowita – z helmem – do 42,7 m. W nadanej wówczas wieży klasycystycznej formie możemy ją oglądać obecnie.

Bibliografia:

- M. Effner, Geschichte der katholischen Pfarrei Grünberg, Grünberg 1932;
- T. Dzwonkowski, Parafia pw. Św. Jadwigi w Zielonej Górze, Zielona Góra 1994;
- J. Ślulowski, Jan Ignacy Felbiger [w:] Encyklopedia katolicka, t. 5, Lublin 1989, szp. 96-97;
- B. Burda, Jan Ignacy Felbiger [w:] Ludzie Środkowego Nadodrza, red. K. Bartkiewicz, Zielona Góra 1998, s. 50-52.

Cyna należy do najwcześniej znanych i używanych przez człowieka metali. Popularna na Dalekim Wschodzie oraz w Starożytnym Rzymie, zyskała wiele nowych zastosowań po odkryciu jej bogatych złóż w Europie.

STAREJ CYNY BLASK

Zapomniany dziś nieco srebrzysty metal, ma za sobą bogatą wielowiekową przeszłość, którą przybliżają wyroby cynowe zielonogórskiego Muzeum. Zabytki znajdujące się na ekspozycjach Działu Winiarskiego oraz Sztuki Dawnej pochodzą z *Heimathmuseum* oraz przekazów i zakupów okresu powojennego.

Popularność cyny sięga piętnastego stulecia, odkąd mieszczanie i uboższa szlachta zaczęli jej używać zamiast wyrobów glinianych czy znacznie droższych srebrnych i szklanych. Największe znaczenie tego metalu przypada na wiek XVI oraz początek XVII stulecia, kiedy powstają całe zastawy stołowe z talerzami, terynami, dzbanami, kufkami butlami czy łyżkami. W powszechnym użytku były cynowe lampy oliwne, świeczniki oraz zabawki, natomiast z drobiazgów galanterijnych ceniono tanie ozdoby biżuteryjne, szkatułki, tabakierki, puzderka czy kałamarze. Do najokazalszych należały efektowne przedmioty dekoracyjne zdo-

biące wnętrza wielu reprezentacyjnych pomieszczeń.

Produkcją wyrobów cynowych zajmowali się konwisarze. Odlewano je w specjalnych formach zwanych kokilami lub wykuwano w blasze, lutując później poszczególne elementy. Z uwagi na kruchość samej cyny, często stosowano jej stopy, używając taniego ołowiu lub miedzi.

Najpowszechniejszym sposobem zdobienia wyrobów z tego miękkiego i plastycznego metalu było ich rytowanie. Robili to zwykle sami konwisarze, wykonując napisy fundacyjne, znaki zrzeszeń cechowych, czy dekoracje roślinne lub figuralne. Stosowano też technikę młotkowania powierzchni oraz reliefu, uzyskiwanego poprzez odlewanie w formie.

Polskie konwisarstwo rozwijało się od XIV wieku, a najważniejszymi jego ośrodkami były: Kraków, Gdańsk i Poznań. Bogate tradycje w tej dziedzinie miał Śląsk, gdzie obok Wrocławia znaczącą pozycję zajmowały: Świdnica, Legnica, Głogów, Żagań i Nysa.

Po raz pierwszy profesję konwisarza wpisano do wrocławskiej księgi podatkowej w 1345 roku, a o konkurencyjności miejscowych wyrobów świadczy zakaz Zygmunta Augusta zabraniający ich przywozu do Polski. Znaczenie cyny na Śląsku wzrosło w XVII wieku, gdy po niszczylielskiej wojnie 30-letniej, masowo zastępowano złote i srebrne naczynia liturgiczne tańszymi cynowymi.

Do najefektowniejszych wyrobów konwisarskich znajdujących się w zbiorach zielonogórskiego Muzeum należą zabytki związane z obrzędowością cechową, ukazujące tradycje gospodarcze miasta i regionu. Najokazalsza w tej grupie jest 42 centymetrowa konew cechu kowali z uchwytem i przykrywą. Wygrawerowane na jej brzusku lwy trzymają kartusz z insygniami cechu oraz datą 1737. Nalewanie trunku ułatwiał znajdujący się w dolnej części kranik spustowy.



Wilkom cechu kowali, XVII w.



Wazon secesyjny, początek XX w.



Świecznik ołtarzowy, XVIII w.



Dzban cechu kowali, 1737 r.

Z czasem konwie zastąpiły okazałe puchary okolicznościowe zwane wilkomami, będące często wizytówką cechu i używane przy ważnych uroczystościach. Wśród najciekawszych są puchary kowali, powroźników oraz licznej w Zielonej Górze korporacji bednarzy, mającej w 1787 roku aż piętnastu członków.

Profilowaną uskokowo czaszę wilkomu kowali okalają dwa rzędy lwich główek z wywieszkami, a jego przykrywę wieńczy figurka mężczyzny z chorałką i kartuszem. Zastawę cechową uzupełniają kubki, kufle i talerze. Znacznie późniejszy, ale także interesujący jest niewielki XIX-wieczny zielonogórski puchar o charakterze pamiątkowym z widokami ratusza, pomnika Wilhelma I oraz Wzgórza Augusta.

Pracownie konwisarskie tworzyły także wyposażenie dla wielu kościołów, obejmujące bogato zdobione sarkofagi, chrzcielnice, umywalnie kapłańskie czy świeczniki. Znaczący udział w zbiorze Działu Sztuki Dawnej mają świeczniki ołtarzowe, będące zazwyczaj dziełem lokalnych rzemieślników. Jeden z nich powstał w zielonogórskiej pracowni Gottlieba Ballacha.

Osiemnastowieczny rodowód ma związany bezpośrednio z obrzędami liturgicznymi kielich oraz cztery ampułki na wino i wodę. Z warsztatu szprotawskiego konwisarza pochodzi misa chrzcielna, natomiast niewielkie baniaste *lavabo* z kranikiem w formie głowy smoka jest elementem umywalni kapłańskiej.

Już jednak koniec XVIII wieku oznaczał spadek zainteresowania cyną, wypieraną przez stopy brązu oraz tańsze wyroby ceramiczne i szklane.

Renesans upadającego konwisarstwa przyniósł dopiero Ruch Odnowy Sztuki i Rzemiosła – „Arts and Crafts” oraz wzornictwo początku XX wieku. Sztuka secesji wnosząca nową oryginalną formę i ornamentykę w pełni wykorzystywała właściwości cyny. Powstawały wyroby o skomplikowanej tektonice i płynnej linii, widocznej w posrebrzanym wazonie z efektownym modelunkiem dziewczyny zrywającej winogrona. Cynę chętnie łączono ze szkłem oraz ceramiką, czego przykładem są liczne kufle.

Od wieków popularne były także cynowe figurki, ponad czterystu żołnierzy z czasów wojny 7-letniej liczył zbiór należący do Towarzystwa Kulturowania Ojczystych Tradycji, działającego przed wojną w Zielonej Górze.

Rzemiosło konwisarskie, mające za sobą wielowiekową chlubną przeszłość podzieliło los kolarstwa, ludwisarstwa, rusznikarstwa, tkactwa oraz innych nieistniejących już dziedzin wytwórczości. Dzisiaj jego wyroby są ważnym świadectwem rozwoju kultury duchowej i materialnej człowieka na przestrzeni setek lat. Mimo zastąpienia srebrzystego metalu nowymi doskonalszymi materiałami w wielu krajach nadal przetrwały tradycje wytwarzania przedmiotów cynowych oraz zamięłowanie do ich zbierania i eksponowania.

Niemcy w Zielonej Górze (1945-1946) w świetle dokumentów

Do największych wydarzeń wydawniczych i księgarskich (w kategorii książek naukowych) w ostatnich latach, zaliczyć można z powodzeniem czterotomowe dzieło przygotowane przez polskich i niemieckich historyków, a poświęcone losom ludności niemieckiej na ziemiach polskich po II wojnie światowej. „*Niemcy w Polsce 1945-1956. Wybór dokumentów*” („Neriton”, Warszawa 2000-2001) – to monumentalna i niezwykle obszerna praca, której nie można w zasadzie porównać z żadnym dotychczasowym wydawnictwem źródłowym poświęconym tytułowej tematyce. Tak wysoka ocena wynika przede wszystkim z faktu, iż jest to pierwsze tego rodzaju wydawnictwo wolne od politycznych nacisków. Benedyktyńska wręcz praca zespołu naukowców (Włodzimierz Borodziej, Hans Lemberg, Stanisław Jankowiak, Claudia Kraft, Ingo Eser, Jerzy Kochanowski, Witold Stankowski, Katrin Steffen, Daniel Boćkowski) prowadzona była w dwudziestu archiwach. W rezultacie wyłaniający się z dzieła obraz Niemców, a także proces ich wysiedlenia z Polski, odbiega niekiedy znacząco od tego, który był wcześniej przedstawiany (niekiedy źródła zamieszczone we wcześniejszych publikacjach mają charakter kontrastu w stosunku do tych, które zostały zamieszczone w omawianym dziele – zob. P. Lippóczy i T. Walichnowski, *Przesiedlenie ludności niemieckiej z Polski po II wojnie światowej w świetle dokumentów*, Warszawa-Łódź 1982).

Czytelników „Pionierów” powinny zainteresować przede wszystkim tomy III i IV, jako że tam właśnie zamieszczono wiele dokumentów dotyczących Niemców zielonogórskich. W obu tych tomach wprowadzenia (i opracowania) do dokumentów dokonał Stanisław Jankowiak i trzeba przyznać, że praca tego historyka zaowocowała istotnym wynikiem poznawczym, który znacząco wzbogaca faktografię w zakresie historii Zielonej Góry pierwszych miesięcy i lat po II wojnie światowej. Te nowe informacje wpisane zostały w dzieje już rozpoznane i opisane. S. Jankowiak przytacza bowiem w swoim opracowaniu literaturę często już zapomnianą. Weryfikacja zawartych w niej informacji kończy się często potwierdzeniem faktografii umieszczonej w książkach, które dzisiaj niesłusznie są niekiedy marginalizowane przez młodych badaczy. Za Henrykiem Dominiczakiem (*Proces zasiedlania województwa zielonogórskiego w latach 1945-1950*, Zielona Góra 1975) i Anną Magierską (*Ziemie zachodnie i północne w 1945 roku. Kształtowanie się podstaw polityki integracyjnej państwa polskiego*, Warszawa 1978) przypomina dla przykładu S. Jankowiak o zielonogórskiej specyfice (podobne przypadki dotyczyły jeszcze kilku miast na Dolnym Śląsku i w Wielkopolsce) w kontekście sprawowanej po wojnie władzy. Otóż na większości obszarów Ziemi Lubuskiej Rosjanie sami organizowali struktury administracyjne, wykorzystując do tego

celu głównie ludność niemiecką. Administracja niemiecka funkcjonowała najczęściej do czasu pojawienia się urzędników polskich. W Zielonej Górze jednak władze niemieckie (w tym niemiecka policja), mimo sprzeciwu Polaków, działały aż do czerwca 1945 r. Do tego momentu niemiecki burmistrz Zielonej Góry zdążył zewidencjonować całą ludność niemiecką. O tym, że były to rządy skuteczne, świadczyć może to, iż zaopatrzenie w mieście było co najmniej dobre, a sklepy niemieckie sprzedawały nawet masło i jaja. Niemcy decydowali także o parytecie wymiany marek na złotówki (2 złote za jedną markę).

Za szczególnie interesujące można uznać dokumenty, które dotyczą opisu tych samych wydarzeń, a wyłaniający się z nich obraz jest często radykalnie odmienny. Tak jest w przypadku wysiedlenia Niemców z Zielonej Góry w końcu 1946 r., gdzie według jednej relacji wysiedlenia przebiegały poprawnie, zgodnie z obowiązującymi wówczas instrukcjami władz centralnych, a według innej – zorganizowany w pośpiechu Punkt Zborny nie do końca odpowiadał ustalonym wymaganiom. Mieścił się w halach dawnej fabryki broni, odległych aż o 2 km od stacji kolejowej, co przy niedostatecznym stanie środków lokomocji, powodowało opóźnienia w kompletowaniu składów. Transport Niemców trwał więc nawet w nocy, co mogło rzutować na stan zdrowia wielu wysiedlanych. •Ile zorganizowane wysiedlenia kontynuowano także w następnych miesiącach. Mimo, że władze przestrzegały, by nie włączać do transportów tzw. „elementu słabego”, zaleceń tych nie wykonywano. Pod koniec 1946 r. w Punkcie Zbornym w Zielonej Górze z niewyjaśnionych przyczyn zmarło 27 osób. Sytuacja w Zielonej Górze nie uległa poprawie także w następnym roku. Z kolejnych dokumentów wynika bowiem, że w połowie 1947 r. w Punkcie Zbornym było ponad 4 tysiące osób, co groziło wybuchem epidemii tyfusu.

Ponieważ tom III dotyczy m.in. Wielkopolski i Ziemi Lubuskiej, a tom IV m.in. Dolnego Śląska, trzeba niejako sięgać do nich w odwrotnej kolejności, gdyż do 6 lipca 1945 r. powiat zielonogórski należał do dolnośląskiego okręgu administracyjnego, a dopiero po tej dacie funkcjonował w województwie poznańskim.

Prezentowane poniżej fragmenty trzech dokumentów pochodzą kolejno z tomu IV (dok. 161) oraz z tomu III (dok. 77, 78) i dotyczą odpowiednio niemieckiej administracji w Zielonej Górze (do czerwca 1945 r.) i akcji wysiedlenia Niemców z Zielonej Góry w pierwszych dniach listopada 1946 r.

W dokumentach zachowano oryginalny język. Z tego względu konieczne są pewne wyjaśnienia. Otóż zgodnie z przyjętą po wojnie normą, nazwę „Niemcy” pisano na ogół

małą literą. Nie inaczej jest w prezentowanych źródłach. W opinii zarówno władz, jak i znacznej części społeczeństwa, Niemcy nie zasługiwali na najmniejszy szacunek – wyrażany choćby zasadami ortograficznymi odnoszącymi się do nazw narodów. Była to swego rodzaju manifestacja stosunku ofiar wojny do „urodzonych morderców”, którzy „zawsze byli tacy sami – od Gerona do Hitlera” – jak informowała powojenna prasa polska. Złagodzony, a z czasem także pozytywny obraz Niemców w Polsce, zacznie być widoczny w opiniach władz polskich dopiero po 1949 roku, tj. po tym jak powstanie Niemiecka Republika Demokratyczna.

Język sprawozdań jest niedbały, co świadczyć może o pośpiechu towarzyszącym ich powstaniu, jak również o zaledwie podstawowym wykształceniu ich autorów. Najbardziej rażące błędy językowe zostały podkreślone, a ich właściwa forma podana w nawiasie kwadratowym. Zabieg ten był konieczny dla właściwego odczytania źródła.

1945 maj 24 – Sprawozdanie z inspekcji północnych zachodnich powiatów Dolnego Śląska przeprowadzonej przez kierownika Inspekcji Przemysłowej Schmidtke

(...) Podczas mojej inspekcji szczególną uwagę zwróciły następujące fakty:

a) bardzo szybkie zaludnianie się terenów północno-zachodnich Dolnego Śląska powracającymi Niemcami.

b) nadzwyczaj tolerancyjne ustosunkowanie się Władz Sowieckich do tej reemigracji i związanej z nią sprawy samodzielnego organizowania się Niemców. Charakterystycznym przykładem dla przytoczonych powyżej faktów jest Zielona Góra. Otóż w mieście tym znajduje się obecnie już do 15.000 Niemców, których ujął ewidencyjnie i zorganizował (za wiedzą i wolą komendanta wojennego) burmistrz niemiecki, wyposażony wszystkimi przynależnymi takiej funkcji kompetencjami.

Czymś w rodzaju jego organów wykonawczych jest milicja obywatelska, składająca się z „obmanów”, którzy kontrolują porządek na mieście, posiadają klucze od niezamieszkałych jeszcze przez Niemców domów, przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych wyznaczonych im dzielnic. „Obmani” dysponują środkami komunikacyjnymi, tj. rowerami i utrzymują szybki kontakt z burmistrzem i za jego pośrednictwem z Komendą Wojenną.

Zaopatrzenie aprowizacyjne i ogólne tych Niemców jest regulowane przez biuro burmistrza systemem kartkowym. Aproprowizacja jest dobra bo sklepy rozdzielcze będące pod zarządem niemieckim sprzedają nawet masło i jaja. Polacy oczywiście w tych sklepach kupować nie mogą bez zezwolenia burmistrza. Czy ten natomiast udzieliłby swego zezwolenia – pozostaje dotąd sprawą otwartą, bo na szczęście nikt z Polaków go dotąd prosić nie poszedł.

Mimo tej swobody, Niemcy zdają sobie sprawę z tego, że sytuacja ta może ulec zmianie, zwołali pod przewodnictwem burmistrza zebranie, na którym uchwalili samodzielnie parytet wymiany w stosunku 2 zł za 1 Markę.

Przyjmując nawet, że są na to wszystko tymczasowe konsensusy Komendanta Wojennego i że sytuacja ulegnie zmianie z chwilą wysłania przez Województwo swoich przedstawicieli administracyjnych, proszę Kierownictwo Grupy Operacyjnej o wyrażenie swojego sprzeciwu odnośnie takiego stawiania sprawy, wnosząc jednocześnie o oficjalne przełanie władzy administracyjnej na naszego Pełnomocnika Powiatowego, który do czasu zainstalowania się polskich Władz administracyjnych z prawdziwą ulgą przyjmie na siebie te obowiązki. (...)

1946 listopad 7 — Sprawozdanie z kontroli Punktu Zborczego dla Niemców w Zielonej Górze

1. W dniach 3-5 listopada br. przeprowadziłem kontrolę Punktu Zborczego dla Niemców w Zielonej Górze. Zgodnie z ustalonym planem repatriacji, Punkt Zborczy rozpoczął pracę w dniu 2-go listopada. Pierwszy transport w ogólnej ilości 1809 osób (mężczyzn 502, kobiet 931, dzieci 375) odszedł do P. Zdawczego w Kaławsku w dn. 3.XI. o godz. 13-tej. Drugi transport w ilości 1806 osób (mężczyzn 492, kobiet 901, dzieci 413) odszedł w dniu 4.XI. o godz. 16-tej. Trzeci wreszcie i ostatni był w czasie mego pobytu w Zielonej Górze w toku załatwiania.

2. Zasięg Punktu Zborczego obejmował powiaty: Gubin, Krosno, Świebodzin, Wschowa, Babimost (Wolsztyn) i Zielona Góra. Punkt Zborczy umieszczono w halach b. fabryki broni ręcznej. Odległość od stacji kolejowej wynosiła ca 2 km i z tego względu były dość znaczne trudności transportowe, gdyż należało jedne grupy Niemców zwozić, innych zaś po załatwieniu formalności na P. Zbornym odwozić na stację. Na odbytej odprawie w Starostwie Powiatowym, kwestia zapewnienia należytej ilości środków transportowych została omówiona, przy czym Starostwo w Zielonej Górze zobowiązało się dostarczyć potrzebnej ilości samochodów i wozów ciężarowych dla uzupełnienia taboru Punktu Zborczego, który składał się z dwóch ciężarówek i jednej półciężarówki. O ile w pierwszym dniu akcji ilość środków transportowych dostarczonych przez Starostwo była wystarczająca, o tyle w następnych dniach pracowały głównie wozy Punktu Zborczego, które nie mogły sprostać zdaniu [powinno być: „zadaniu” – RM] i stąd transport drugi i trzeci odeszły z parogodzinnym opóźnieniem w stosunku do ustalonego planu.

Na terenie Punktu Zborczego uruchomiono kuchnię (5 kotłów a [powinno być raczej: „po” – RM] 250 litrów). Wydawanie kawy i obiadów odbywało się sprawnie, a jakość żywienia odpowiadała przewidzianej normie. (...)

Dla dzieci ponadto wydane zostało mleko skondensowane w puszkach. Ambulatorium Punktu Zborczego udzieliło pomocy lekarskiej dla I. transportu w 45 wypadkach, dla II transportu w 46 wypadkach, 22 osoby zostały zakwalifikowane jako niezdolne do wyjazdu. Ze stacji Zielona Góra transporty odeszły pod konwojem (...).

3. Wszystkie czynności Punktu Zborczego (weryfikacja, odprawa celna, odprawa wagonowa) odbywały się zgodnie z instrukcjami w obecności przedstawiciela czynnika społecznego.

Ekipa personalna Punktu Zborczego składała się z 8 ludzi pod kierunkiem ob. Hurkowskiego, kierownika Punktu

Etapowego w Gnieźnie, specjalnie delegowanego w tym celu.

Ponadto miejscowy Oddział „Oddział” – RM] Powiat. PUR delegował 8 pracowników. Praca na Punkcie Zborczym trwała od godziny 7-mej rano do 20-tej wieczorem i wszyscy pracownicy wykazali ofiarność i zrozumienie swych obowiązków.

4. Pewne zakłócenia w pracy Punktu Zborczego wynikały na tle niedociągnięć władz administracyjnych, które wyraziły się w takich np. faktach. Wg planu powiat Gubin miał dostarczyć do odesłania 500 Niemców, przysłano zaś na Punkt Zborczy 700. Wobec tego, że z Zielonej Góry przewidziane były tylko 3 transporty dla nadwyżki (200 osób) nie było już miejsca i trzeba było odesłać je z powrotem do Gubina. Konwojent dostarczający Niemców z Gubina przywiózł ich bez żadnych dokumentów. Wskutek tego komisja weryfikacyjna na P. Zborczym nie mogła dokonać weryfikacji i jest rzeczą możliwą, iż niektórzy autochtoni potraktowani zostali jako Niemcy. Podczas całej akcji miało miejsce kilka wypadków ordynarnego rabunku. Miejscowe władze bezpieczeństwa wszczęły śledztwo w celu ujawnienia winnych.

5. Ogólna ocena pracy Punktu Zborczego mimo drobnych usterek natury porządkowej (niedostateczne oświetlenie i rozgraniczenie terenu w celu uniemożliwienia kontaktu grup, które przeszły przez rejestrację i rewizję z tymi, które oczekiwały na załatwienie formalności) wypaść musi dodatnio. Skarg i zażaleń poza kilkoma wypadkami, o których mowa więcej nie było. (...)

1946 listopad 7 – Sprawozdanie kierownika Punktu Zborczego w Zielonej Górze do Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Poznaniu o przebiegu akcji wysiedleń ludności niemieckiej z powiatów: Zielona Góra, Gubin, Krosno, Świebodzin, Wschowa i Wolsztyn

Na podstawie zarządzenia Dyrektora Woj. Oddziału PUR w Poznaniu, udałem się w dniu 30.10.1946 celem przeprowadzenia repatriacji Niemców z Punktu Zborczego w Zielonej Górze z następujących powiatów: Zielona Góra, Gubin, Krosno, Świebodzin, Wschowa, Wolsztyn.

Stwierdzono na miejscu, że budynki przeznaczone dla repatriantów Niemców są nieodpowiednie, ze względu na niedogodne rozmieszczenie pomieszczeń przeznaczonych dla poszczególnych komisji, jak też dla Niemców nie rejestrowanych i rejestrowanych już do wyjazdu.

Jednak ze względu na brak innych budynków jak oświadczył przedstawiciel miejscowych Władz, pozostało przy tych. W obrębie obozu została zorganizowana kuchnia do gotowania posiłków dla repatriantów.

Po załadowaniu całego transportu członkowie tegoż zostali zaopatrzeni w suchy prowiant do poszczególnych wagonów na jeden dzień, zaś na drugi dzień całą żywność złożono w oddzielnym wagonie, który na miejscu został zaplombowany przez Władze Kolejowe.

Repatrianci byli żywieni wg. ustalonych norm II kat. (...)

W obozie zorganizowano Punkt sanitarny prowadzony przez lekarza Polaka, który miał do pomocy lekarza

Niemca. Chorym udzielano pierwszej pomocy, zaś repatriantów nie nadających się do transportu pozostawiono na miejscu do dalszego leczenia w domu, bądź skierowano do szpitala. Stwierdzono niezrozumiałe zjawisko, mianowicie Niemcy dostarczeni z powiatu Krosno w znacznej części nie posiadali żadnych dokumentów, nawet zastępczych stwierdzających miejsce zatrudnienia i tożsamość osoby. Natomiast Niemcy dostarczeni z Gubina przyjechali również bez żadnych dokumentów, które wg oświadczenia zostały Niemcom odebrane [„odebrane” – RM] w Gubinie.

Spowodowało to dużo zamętu w pracy ponieważ nie zawsze można było ustalić tożsamość osoby, jak również wpłynęło hamująco na całość pracy w danym dniu.

Ponadto Gubin miał dostarczyć 570 Niemców przysłały [„prysłał” – RM] 711 osób.

Skutkiem tego pozostała różnica 141 osób, musiano przesłać z powrotem do Gubina.

Specjalny rozdział należy poświęcić współpracy z miejscowymi władzami, która była pod wszelką krytyką.

Repatrianci Niemcy winni być dostarczeni z poszczególnych powiatów na Punkt Zborczy zorganizowanymi środkami transportowymi przez miejscowe Władze Administracyjne.

Środki transportowe zorganizowane na miejscu były zupełnie nie wystarczające, minimalne, dostarczane dorywczo. Biorąc przy tym znaczną odległość około 4 km Punktu Zborczego od dworca kolejowego miejsca załadunku.

Skutkiem tego wytworzyła się taka sytuacja, że zamiast z dworca kolejowego Niemców dostarczonych z innych powiatów zwozić do obozu środkami transportowymi dostarczonymi przez miejscowe Władze Administracyjne cały niemal ciężar transportu spadł na będące na miejscu dwa duże samochody i jeden mały należące do PUR-u. Samochody te w niektórych dniach zmuszone były zwozić do obozu Niemców do późnych godzin nocnych by na następny dzień móc przygotować transport do odprawy.

To krótkie naświetlenie winno być dostatecznym obrazem z jakimi trudnościami PUR musiał walczyć przy repatriacji Niemców w Zielonej Górze, wobec niewłaściwego podejścia przez miejscowe Władze Administracyjne. W konsekwencji wszystkie transporty z Zielonej Góry odchodziły ze znacznym opóźnieniem.

Z Punktu Zborczego w Zielonej Górze odeszły trzy transporty repatriantów Niemców do Kaławska.

I.	3.11.46.	502	931	376	razem 1809
		mężczyzn	kobiet	dzieci	osób
II.	4.11.46.	492	901	413	1806
III.	5.11.46.	487	907	420	1814

każdy transport liczył 55 wagonów.

Ogółem: mężczyzn 1481, kobiet 2719, dzieci 1209, razem 5429

Na zakończenie nadmieniam, że skład pociągu był zawsze ustawiony w 2 członach co również nie wpływało dodatnio na sprawność akcji przy załadunku.

Ryszard Michalak



Zielonogórski malarz z Gorzowa

W bieżącym roku mija dziesięć lat od śmierci Andrzeja Gordona, zielonogórskiego malarza z Gorzowa, jak określił Go dyrektor Muzeum, Andrzej Toczewski. Nie jest to próba zawłaszczenia dorobku Artysty, ale oddanie szacunku dla naszej wspólnej i zgodnej współpracy.

W połowie listopada ubiegłego roku umówiła się ze mną, piszącą nożem o zielonogórskim środowisku plastycznym, Renata Ochwat, dziennikarka *Gazety Zachodniej*. Pani Renata Ochwat od 1993 r. mieszka w Gorzowie. Po „wygraniu” dziennikarskiego konkursu *Gazety Wyborczej* miasto pozyskało wnikliwą recenzentkę wydarzeń kulturalnych. Dziennikarze zawsze budzą moje zaniepokojenie, ale i ciekawość. Niepokój pozostał z tego pamiętnego okresu, gdy dziennikarz przychodził z gotową uzgodnioną tezą i ze ściśle określonymi zadaniami. Pani Renata Ochwat już po paru zdaniach wzbudziła moje zdumienie nie znajomością tematu, a moją ostrożność zamieniła na nieskrępowaną rozmowę. Nawet nie zaprotestowałem, gdy naprzeciwko ustawiła niewiele większy od pudełka papierosów aparacik z mrugającym czerwonym oczkiem, które w tym wypadku nie miało nic wspólnego z czerwona lampką ostrożności, która zazwyczaj zapalała się we mnie, gdy dawno temu stawiano na stole walizę ze szpulami, którą objuczony był dziennikarz. Zapowiadana na godzinę wizyta zamieniła się na trzygodziną rozmowę o życiu Artysty, który w wieku 47 lat zakończył swój twórczy żywot. Pani Renata poznała obrazy, rysunki, grafiki Andrzeja Gordona, Jego gesty i styl życia, a ponieważ osobiście Go nie znała, stał się dla Niej światem pełnym tajemnic, niejasnych przesłań i dręczących pytań.

W listopadzie 2002 otrzymałem zaproszenie na „wieczornicę pamięci Andrzeja Gordona, z programem:

- prezentacja przygotowywanej monografii artysty,
- wspomnienia i wspominki,
- aukcja obrazu pędzla Andrzeja Gordona,
- dyskusja.

Prowadzenie Renata Ochwat z red. *Gazety Wyborczej*.

Ja, w roku śmierci Przyjaciela miałem 60 lat. Leszek Kania, Jego serdeczny kolega, nieco ponad połowę moich lat. A teraz rekonstruuje życie Artysty osoba znacznie młodsza (kobiety nie pyta o wiek). Nie całkiem tedy Andrzej umarł, o ile dziennikarka-polonistka przygotowuje albumowe wydanie z powodu smutnej rocznicy, aby zachować w Gorzowie pamięć o jednym z bardziej znakomitych i znaczących malarzy, z tych tworzących duchową tkankę miasta, albo jak kto woli, kulturalną tożsamość miasta nad Wartą.

Nasze Muzeum zakupiło duży zbiorowy portret pracowników Działu Sztuki Współczesnej, namalowany po naszej wizycie w pracowni Andrzeja w roku 1984. Jego imiennik Andrzej Toczewski, na długo zanim został dyrektorem Muzeum nabył gotowy obraz także po wizycie w Jego pracowni. Nie zmieścił go do wołgi, którą okazjnie zabrał się do Gorzowa. Wobec tego dzieło przyjechało żukiem i w naszym Muzeum

stolarze sklecieli konstrukcję na dachu malucha i tą limuzyną Andrzej podjechał pod swój wielokondygnacyjny blok. Papier podarł się jednak podczas transportu i nagle na balkonach pojawili się widzowie, którym przyszedł dyrektor, wyprzedzając swoją funkcję, zorganizował taki niespodziewany wernisaż. Ponieważ Andrzej Toczewski od wielu lat szykował się do muzealnej pracy, przewidział na podstawie przyszłego doświadczenia swoje obowiązki w zakresie upowszechniania sztuki, antycypując dyrektorskie stanowisko.

Dział Sztuki Współczesnej zakupił od Andrzeja Gordona:

– 17 prac grafiki warsztatowej [akwaforta, akwatinta, serigrafia, linoryt, drzeworyt],

– 40 prac rysunkowych tuszem i flamastrem,

– 20 pastelii,

– 23 prace olejne na płótnie.

Jest to największy zbiór muzealny Jego prac.

Z Leszkiem Kanią toczyliśmy dłuższą dysputę. Pokolenie wo Andrzej należał do generacji warszawskich znakomitości. Reprezentowali tę formację: – Edward Dwurnik, Jan Dobkowski-Dobson, Jury Zieliński, Antoni Fałat, Eugeniusz Wyganowski, Jan Popek. Ten ostatni już nie żyje, zmarł w niejasnych okolicznościach. Wyganowski i Jury Zieliński, odeszli także jakoby na własne życzenie. To był ważny głos młodych w stolicy. Leszek w kilka dni po śmierci Andrzeja zorganizował Jego dużą wystawę w naszym Muzeum, a nieco później (luty 1993) w Muzeum w Legnicy. Zawiózł tam 30 prac malarskich i 50 rysunków wraz z pastelami.

Życie jest piękne, ale i okrutne. To jest wyświechtany banał, podobnie jak odkrycie, że życie to pogoń za wciąż innymi wyzwaniem, celami, chęć osiągnięcia intensywniejszych przeżyć. Do Andrzeja przystają jednakże słowa meksykańskiego architekta – Luisa Baragana: „Pewność śmierci jest motorem działania”. Jego prace, pełne emocji niosą tak właśnie sformułowany zapis. Symboliczne ukrzyżowania, to uwielbienie siły witalnej zakończonej katastrofą. Nie trzeba być wyspekulowanym intelektualistą, aby tak odczuwać te orszaki zanurzone w miłości, przedstawiane z perwersyjną śmiałością. Tę całą megamitologię, gdzie pojawiają się w konwulsyjnych splotach nagie ciała w towarzystwie demonów, aniołów, jako realny świat, nad którym krąży zarówno moce piekielne, jak i anielskie. Czy może być wyrozumiałość i akceptacja do tak przedstawianej miłości? Agresja w akcie seksualnym, jego brzydota, czy to protest? A może to Jego droga od uwielbienia do nienawiści? Od folgowania sobie aż po unicestwienie. To także nic innego jak znany od średniowiecza taniec śmierci, czy pełne paradoksu renesansowe opisy cierpienia z miłości, tak żarliwie przedstawiane w literaturze romantycznej. Obok tej zewnętrznej formy, której czytelności nie sposób zaprzeczyć jest jeszcze sfera wewnętrzna, psychiczna, owa duchowa cząstka życia. To jest repertuar form i napięć specyficzny w polskiej sztuce. Realny świat ciała i duchowe przesłanie, tajemnicze i mroczne, zostało określone w formie malarskiej przynależnej do nurtu nowej figuracji, sam zaś Artysta, kreowany przez krytykę metropolii na jej czołowego przedstawiciela. Bardzo bym chciał, aby Pani Renata Ochwat wpisała kolejny raz Andrzeja Gordona w świadomość artystyczną nie tylko swojego miasta, ale otworzyła szerzej drzwi do historii polskiej sztuki, na miarę Jego twórczych dokonań. Sądzę, że wspólnym naszym pragnieniem jest, aby Andrzej Gordon, ludzie kultury, stali się pomostem łączącym w zgodnej współpracy nasze miasta.

Jan Muszyński

Poznajemy Ojcowiznę

Trzebulskie Pogórze

Trzebulskie Pogórze – wzniesienia ciągną się pasmem długości 17 km i szerokości 3-3,5 km, lekko ku północy wygiętym łukiem, od Drzonowa do Pław. Nazwa pochodzi od wsi Trzebule położonej na południu wzniesień. Najwyższą jest część środkowa znajdująca się między drogami asfaltowymi: Łągów Krośnieński-Trzebule i Leśniów Wielki - Drzonów. Najwyższe wzniesienie, które ma 125 m n.p.m., nie posiada oficjalnej nazwy. Turyści nazywają je Górą Diany (znajdują się na niej pozostałości wieży triangulacyjnej). Z góry roztaczają się rozległe widoki na wzniesienia Wysoczyzny Czerwieńskiej. Środkowa część od północy ma kształt pasma, do którego od południa prostopadle dochodzą pasma z odgałęzieniami. Wzniesienia poza środkową częścią i boczne są nieco niższe, ze stałą tendencją obniżania się aż do terenu o cechach falistych.

Trzebulskie Pogórze między szosą Trzebule-Łągów Krośnieński i Gronowem ma kształt gwiaździstych kopców. Teren wzniesień i najbliższe okolice administracyjnie należą do trzech gmin: w Czerwieńsku (Leśniów Wielki), w Świdnicy (Drzonów) i w Dąbiu. Gospodarką leśną zajmują się Nadleśnictwa w Zielonej Górze i Brzózce. Środkową część w całości porasta młody drzewostan iglasty na piaskach i glebach lekkich, tworząc bór sosnowy suchy o skąym poszyciu. Lasy bogate są w grzyby i jagody. Obszar ten, niestety, zaliczany jest do obszarów intensywnego rozwoju gospodarki leśnej, gdzie produkcja drewna jest podstawową funkcją. Pozytywną cechą jest systematyczne zalesianie wyrębów lasem iglastym z domieszką drzew liściastych. W niższych bocznych partiach koło Drzonowa, Trzebuli i Gronowa występują pola uprawne, łąki i nieużytki. Na tym terenie przy drogach polnych i przyleśnych oraz w parkach podworskich rosną pomnikowe drzewa liściaste, najczęściej dęby.

Świat zwierzęcy niczym nie różni się od innych rejonów naszego województwa. Przez Pogórze płynie wąski (2-3 m), płytki (do 1 m) potok Kosierska Młynówka (Struga), który wypływa spod Drzonowa i po 21 km wpada do Bobru koło Brzeżnicy. Kosierska Młynówka w górnej części płynie u podnóża Trzebulskiego Pogórza, a od Trzebuli przecina niższe partie wzniesień. Na całym biegu zbiera wody mniejszych dopływów. Od Trzebuli płynie w terenie zalesionym, rzadko uczęszczanym przez ludzi. Płynie w głębokim wąwozie z licznymi zakolami, brzegi porasta roślinność nadrzeczna. Jest to ciek bardzo malowniczy. Młynówka koło Trzebuli zasila duże stawy hodowli ryb. Na skraju Pogórza koło Pławia znajduje się pięć jezior otoczonych sosnowym drzewostanem. Brzegi są podmokłe, porośnięte

szuwarami, trzciną i pałą. Największym i jedynym posiadającym nazwę jest jezioro Pławno o pow. 6 ha.

Trzebulskie Pogórze leży na pograniczu historycznej Ziemi (Krainy) Krośnieńskiej i Śląsko-Łużyckiej. W przeszłości losy wiązały je długo z Ziemią Krośnieńską, władaną przez polskich książąt z rodu Piastów. Już w VII w. istniał na brzegu Odry obronny gród słowiański Dziadoszan, obecne **Krosno Odrzańskie**. Później gród był ważnym punktem strategicznym zabezpieczającym granicę państwa piastowskiego. Krosno odegrało ważną rolę w czasie wojen toczonych przez pierwszych władców Polski, Mieszka I i Bolesława Chrobrego ze względu na położenie u przeprawy przez Odrę. Po śmierci Bolesława Krzywoustego w 1138 r. Krosno wraz z całym Śląskiem przeszło pod panowanie jego najstarszego syna Władysława, później znanego Wygnanicem.

Zmieniali się władcy piastowscy. Od 1201 r. kasztelanę krośnieńską (ustanowił ją pod koniec XII w. Bolesław Wysoki) objął Henryk Brodaty wraz z całym obszarem nazywanym Ziemią (Krainą) Krośnieńską. Książę ten i jego małżonka Jadwiga (późniejsza święta, patronka Śląska) położyli szczególnie duże zasługi dla rozwoju miasta i regionu. Rozbudowano zamek obronny, ustanowiono komorę celną, wzniesiono most na Odrze. Ponadto Krosno otrzymało prawa miejskie. Złoty okres Krosna skończył się ze śmiercią Henryka Brodatego, który zmarł 19 marca 1238 r. na zamku krośnieńskim. W 1241 r. w czasie najazdu Tatarów na Śląsk księżna Jadwiga wraz z mniszkami z klasztoru w Trzebnicy schroniła się w Krośnie. Wojskami pod Legnicą dowodził syn Jadwigi i Henryka Brodatego – Henryk Pobożny. W okresie dalszego rozdrobnienia dzielnicowego Ziemia Krośnieńska należała do Księstwa Głogowskiego (władcami byli Jagiellonowie). W 1482 r. cała kasztelania krośnieńska przeszła w drodze zapisu na rzecz Brandemburgii. Powrót do macierzy nastąpił w 1945 r. Ludność słowiańska utrzymała się na tym terenie do końca XVIII w.

Trzeba jeszcze wspomnieć o:

- opanowaniu miasta w 1631 r. i 1641 r. przez wojska szwedzkie,
- przybyciu z Polski w 1667 r. na Ziemię Krośnieńską arian,
- przemarszu przez Krosno i okolice w 1759 r. w czasie wojny siedmioletniej ponad 70-tysięcznej armii Rosji i Austrii oraz przebywaniu w mieście aż do 1763 r. oddziałów rosyjskich,
- opanowaniu miasta przez armię napoleońską w 1807 r. i pobycie wojsk do 1812 r. Przemarsze i stacjonowanie wojsk prowadziły do wielu zniszczeń, rabunków, kontrybucji, pożarów, gwałtów, represji.

Nie można pominąć różnych klęsk żywiołowych, które nawiedzały ludność i region. Bezpośrednio na Wzniesieniach nie ma osad ludzkich. Na obrzeżach i w niedalekiej odległości znajduje się 6 wsi, które będąc w pobliżu warto odwiedzić:

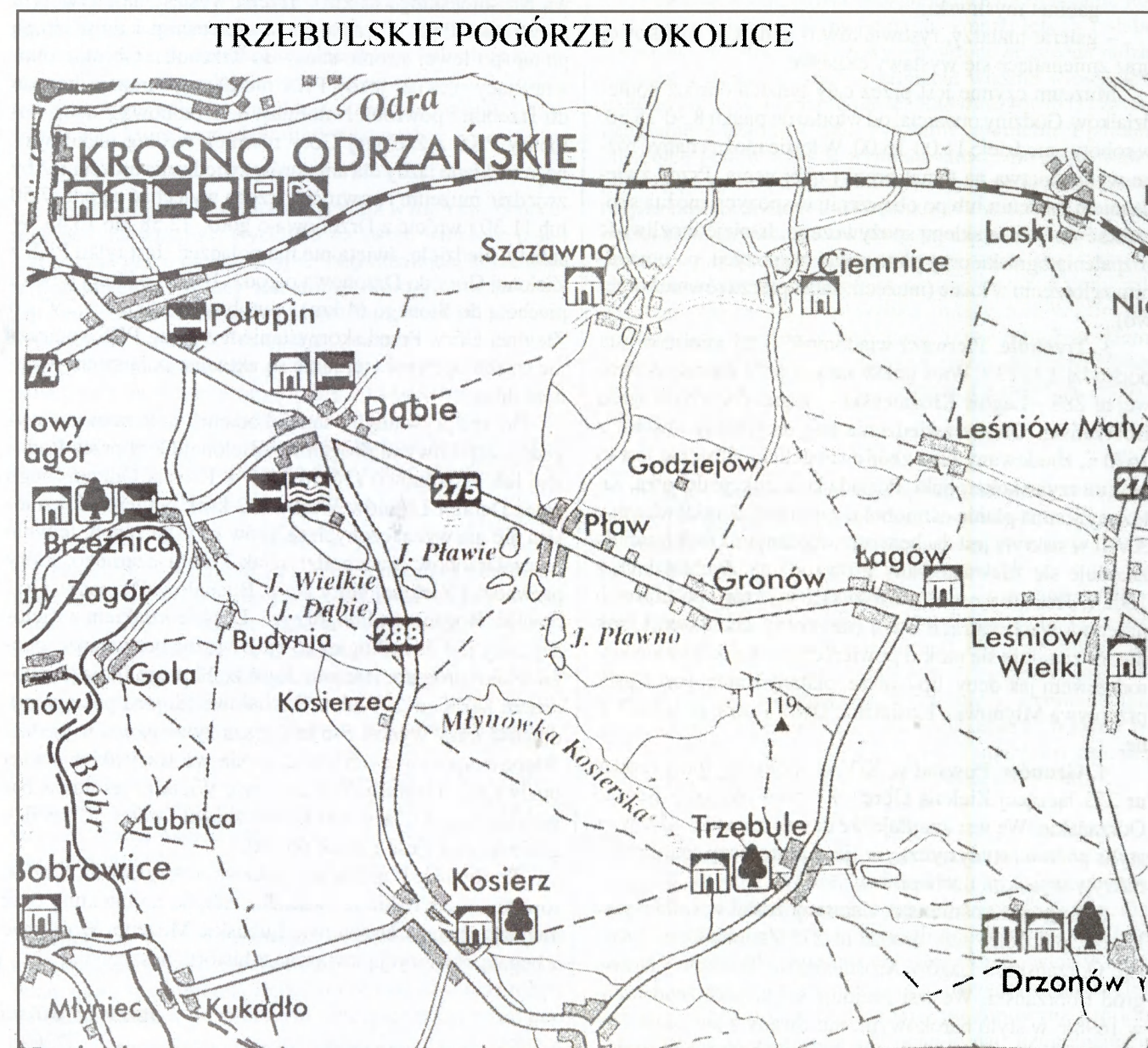
1. **Leśniów Wielki** wzmiankowany w XIV w. położony na skrzyżowaniu dróg: nr 275, która łączy Zieloną Górę z Krosnem Odrzańskim przez Leśniów Wielki i dalej z przejściami granicznymi z Niemcami w Gubinie, Świecku i Słubicach oraz nr 279 łączącej Czerwieńsk, Nietków, Leśniów

Wielki, Drzonów, Buchałów, Świdnicę, Ochłę, Kielpin, Drzonków z Zieloną Górą.

We wsi znajduje się kościół z XIV w., jednonawowy z wieżą, murowany z kamienia i cegły. Wielokrotnie przebudowywany, przeważają obecnie cechy stylowe gotyku i baroku. Z wyposażenia wymienić należy późnogotycki tryptyk warsztatu Mistrza z Gościeszowic z 1516 r., renesansowe nagrobki z XVI-XVIII w., późnobarokowy ołtarz, ambonę. Obok kościoła zbudowana została w 1714 roku późnobarokowa kaplica grobowa. We wsi jest także wiatrak z początku XIX w. drewniany, o konstrukcji słupowej. Brak koncepcji zagospodarowania prowadzi do dewastacji obiektu. Wypada zaznaczyć, że z inicjatywy miejscowego proboszcza przy plebanii, powstało mini-muzeum z ekspozycją sakralną.

2. **Drzonów** wymieniony po raz pierwszy w 1305 r. Powstał niewątpliwie około połowy XIII w. Został założony na porębie leśnej. Położony jest przy drodze nr 279 łączącej Czerwieńsk - Nietków - Leśniów Wielki - Drzonów - Świdnicę - Drzonków - Zieloną Górę. Już w średniowieczu był w Drzonowie majątek ziemski z folwarkiem kościół. Obec-

ny kościół p.w. św. Mikołaja pochodzi z 1817 r., zbudowany został na fundamentach spalonego w 1802 r. kościoła średniowiecznego. Jest to budowla klasycystyczna, murowana, salowa z kwadratową wieżą. Godne uwagi jest wyposażenie, które w 1946 r. przywieźli repatrianci ze wschodnich rejonów Polski. Majątek ziemski w Drzonowie należał kolejno do właścicieli dóbr osiadłych w Kosierzu, Letnicy i Nietkowie. Pałac zbudowany został w 1816 r. i był przebudowywany. Obecnie jest w stylu klasycystyczno-elektycznym. Murowany, założony na rzucie wydłużonego prostokąta, dwukondygnacyjny, nakryty dachem dwuspadowym. Od 1945 r. w pałacu mieściła się szkoła i mieszkania nauczycieli. W 1973 r. obiekt przejęło Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze z przeznaczeniem na magazyny zbiorów archeologicznych. Utworzenie Muzeum Archeologicznego w Świdnicy wpłynęło na zmianę programu użytkowego budowli i parku przypałacowego. W dniu 8 maja 1985 r. (w 40 rocznicę kapitulacji hitlerowskich Niemiec) w pałacu po remoncie i adaptacji nastąpiło otwarcie samodzielnego muzeum pn. Lubuskie Muzeum Wojskowe. Inicjatorem i organizatorem był pasjonat muzealniki, znawca broni i uzbro-



jenia dr Włodzimierz Kwaśniewicz, który kieruje muzeum do dziś. Jest to jedyna tego typu placówka na Środkowym Nadodrzu. Muzeum zgromadziło ponad 3⁵⁰⁰ eksponatów, tj. samolotów, ciężkiego sprzętu wojskowego, broni maszynowej, strzeleckiej i białej, uzbrojenia ochronnego, oporządzenia i wyposażenia, umundurowania, dokumentów, zdjęć, modeli, odznaczeń i medali oraz dzieł sztuki. W zbiorach tych mieści się kolekcja samolotów wojskowych, najliczniejsza spośród nielotniczych muzeów w kraju. Posiada również drugą w krajowym muzealnictwie kolekcję ciężkiej broni i sprzętu wojskowego. Kolekcja ta wraz z samolotami udostępniana jest w plenerowej ekspozycji w parku przy muzeum oraz w ekspozycji pawilonowej. Najnowszą stałą plenerową ekspozycją jest skansen z obiektami fortyfikacyjnymi. W skansenie znajdują się żelbetowe i polowe obiekty fortyfikacyjne, pochodzenia niemieckiego i radzieckiego. W pałacu czynne są stałe ekspozycje:

- wojsko polskie 1914-1945,
- wojsko polskie po 1945 r.,
- polskie kobiety-żołnierze,
- stara broń z XVI- XIX w.,
- gabinet myśliwski,
- galerie malarzy, rysowników o tematyce wojskowej oraz zmieniające się wystawy czasowe.

Muzeum czynne jest przez cały tydzień oprócz poniedziałków. Godziny otwarcia, od wtorku do piątku 8.30-15.30, w soboty i niedziele 11.00-16.00. W kasie można nabyć różne wydawnictwa na temat broni i uzbrojenia. Przed zwiedzaniem muzeum lub po obejrzeniu ekspozycji można skorzystać we wsi ze sklepu spożywczego. Istnieje możliwość rozpalenia ogniska przy plenerowej ekspozycji, po uprzednim zgłoszeniu w kasie (muzeum zabezpiecza również drzewo).

3. **Trzebule.** Pierwsza wiadomość o tej miejscowości pochodzi z 1513 r. Wieś położona jest przy drodze asfaltowej nr 288 – Łagów Krośnieński – Bogaczów – Nowogród Bobrzański. Godny zwiedzenia jest drewniany kościół z 1670 r., zbudowany jako zbór ewangelicki. Obecnie jest to kościół rzymskokatolicki. Posiada konstrukcję dębową, założony jest na planie ośmioboku z dwiema dobudówkami z XVIII w. nakryty jest dachem ośmiobocznym. Obok kościoła znajduje się zdewastowany grób rodziny Żychlińskich z 1802 r. Jest też we wsi dwór z XIX w., który po licznych przebudowach stracił swój pierwotny charakter. Obok dworu znajduje się park o powierzchni 5 ha, z licznym starodrzewem jak dęby, lipy, olsze, platany i inne. Przez park przepływa Młynówka Kosierska. Dwór i park są zaniedbane.

4. **Gronów.** Powstał w XIV w., położony przy drodze nr 275 łączącej Zieloną Górę - Leśniów Wielki - Krosno Odrzańskie. We wsi znajduje się dawny zajazd z XIX w. w stylu późnoklasycystycznym, jest murowany, parterowy, nakryty wysokim dachem.

5. **Łagów Krośnieński.** Zapisany został w 1305 r. jako Łagów, położony przy drodze nr 275 Zielona Góra - Krosno Odrzańskie i Łagów Krośnieński – Trzebule - Nowogród Bobrzański. We wsi znajduje się kościół zbudowany w 1698 r. w stylu barokowym, murowany z kamienia i cegły. Założony na rzucie kwadratu przechodzącego w dru-

giej kondygnacji w ośmiobok, nakryty dachem kopulastym. Oktagonalne (o absolutnej symetrii) wnętrze sklepione jest kopułą lunetami. Drewniane emporie obiegają wnętrze z trzech boków. Wejście ujęte portalem z umieszczoną tablicą erekcyjną z kartuszem.

6. **Plaw,** wzmiankowany jako wieś w XIV w., był własnością biskupstwa wrocławskiego. Znajduje się tu neogotycki kościół zbudowany w XIX w., na miejscu wcześniejszego. Jest murowany z kamienia łamanego i cegły. W zabytkowej kuźni obecnie mieści się plebania. Jest też neogotycka kostnica z XIX w., murowana, prostokątna, o dachu czterospadowym.

Na teren Trzebuleckiego Pogórza z Zielonej Góry i Krosna Odrzańskiego jedynym ogólnie dostępnym środkiem komunikacji są autobusy PKS na trasie Zielona Góra - Krosno Odrzańskie lub odwrotnie. Częstotliwość kursowania jest duża. Można wysiadać w Leśniowie Wielkim, Łagowie Krośnieńskim, Gronowie lub Plawiu i dojść do wzniesień (2-3 km). Jadąc z Zielonej Góry po lewej stronie wyraźnie widoczne jest Pogórze, a jadąc z Krosna Odrzańskiego po prawej. Najbliżej do środkowej części, najwyższej, jest z Łagowa Krośnieńskiego (2 km). Trzeba wysiąść na pierwszym przystanku PKS w Łagowie Krośnieńskim i dojść drogą polną (po lewej stronie szosy do Trzebuli). Obecnie obowiązujący rozkład jazdy PKS nie daje gwarancji dojazdu do Trzebuli i powrotu. Natomiast do Drzonowa kursują autobusy PKS z Zielonej Góry również według niekorzystnego rozkładu jazdy dla amatorów zwiedzania muzeum. Aby zwiedzić muzeum i powrócić, trzeba wyjechać o godz. 7.50 lub 11.30 i wrócić z Drzonowa o godz. 12.58 lub 15.43. W soboty, niedziele, święta nie ma połączeń. Jest tylko PKS z Zielonej Góry do Drzonowa o godz. 14.20 i później powrót piechotą do Słonego (4 km) i autobusem MZK nr „29” do Zielonej Góry. Przed skorzystaniem z usług PKS konieczne trzeba upewnić się, jakie są aktualne połączenia w danym dniu.

Dojazd prywatnymi samochodami i rowerami jest wygodny, asfaltowymi drogami: z Zielonej Góry przez Radomie lub Wilkanowo (16-18 km), z Krosna Odrzańskiego przez Dąbie i Leśniów Wielki (22 km). Na terenie wzniesień nie ma wyznaczonych szlaków turystycznych. Jedynie przez Drzonów przechodzi szlak koloru czarnego, który prowadzi z Zielonej Góry przez Buchałów, Drzonów, Grabowiec, Bogaczów, Podgórzycę. Dojście szlakiem z Zielonej Góry jest dość długie (16 km). Można bez wyznaczonego szlaku drogami leśnymi dojść ze Słonego (dojazd autobusem MZK nr 29) lub z Buchałowa (dojazd pociągiem), długość trasy wynosi 5-6 km. Baza żywieniowa w postaci sklepów spożywczych znajduje się we wszystkich wyżej omówionych wsiach. W Leśniowie Wielkim jest także bar gastronomiczny, a w Gronowie zajazd, motel „U szefa”, gdzie można zjeść gorące posiłki.

Trzebuleckie Pogórze jest ciekawe ze względu na ukształtowanie, szatę roślinną i sakralne zabytki architektury oraz znajdujące się w Drzonowie Lubuskie Muzeum Wojskowe z bogatą ekspozycją związaną z historią naszego narodu.

Jerzy Łatwiński
2002 r.

Kalendarium prac na zielonogórskiej winnicy

Nawiązując do historii i tradycji winiarskich Zielonej Góry oraz wzorując się na XIX wiecznych kalendarzach gospodarskich pokusiłam się o stworzenie kalendarium zajęć i procesów związanych z dawną uprawą winogron i produkcją wina w naszym mieście. Pomocne okazały się materiały ikonograficzne, dokumenty kronikarskie, widokówki i zdjęcia gromadzone w zbiorach działu winiarskiego zielonogórskiego muzeum oraz w moich zbiorach prywatnych.

Kiedy otwieramy butelkę dobrego wina i zachwycamy się jego smakiem i aromatem, nie przypuszczamy ile potrzeba czasu, zabiegów i czynności, aby z nasadzonych niedawno winnych krzewów powstał ten, jak to niegdyś mówiono, boski napój.

Dwanaście miesięcy to rok nieustannej pracy na winnicy i doglądania dojrzewających w piwnicy win różnych roczników. Na krótko zamiera życie na winnicy, ale tylko wtedy, gdy zima jest ostra, a plantację przykrywa gruba warstwa śniegu. Jednak każdy troskliwy winiarz siedząc w zaciszu swojej domowej winiarenki, ani na chwilę nie przestaje myśleć o swojej pracy, oblicza aktualne zbiory, kalkuluje zyski i straty. Za nim rok zakończony dobrymi plonami i kufami pełnymi dojrzewającego trunku, a przed nim kolejny, pracowity sezon, który wyglądał mniej więcej tak:

Styczeń

Każdy dobry winiarz już w styczniu, w dniu św. Wincencego patrona winiarzy, wychodzi na swoje winnicze pole i rozpoczyna prace pielęgnacyjne. Najważniejszą czynnością w prowadzeniu winnicy jest dobre uformowanie krzewu, zapewnia to bowiem obfity plon i lepszą jakość owoców. Również na winnicy Gremplera, znanego w całej niemal Europie zielonogórskiego wytwórcy dobrego wina i szampana, praca na winnicy zaczyna się od przycinania i formowania winorośli. Sekatorami i specjalnymi nożami zwanymi koserami wykonuje się cięcie na sucho jeszcze przed wegetacją roślin. Dom Gremplera do dziś strzeże winniczki, symbolu i wizytówki miasta.

Luty

Nadszedł czas dopełniania beczek młodym winem. Ale również najwyższy też czas rozpocząć butelkowanie starego wina. To praca dla kobiet. Mycie butelek, napełnianie winem i korkowanie. Te na sprzedaż układa się w drewnianych skrzynkach i przekłada trocinami lub papierem. W tym też czasie, zazwyczaj przesądny winiarz, z chwilą wejścia księżycy w fazę nowiu, rozpoczyna wstępne odciąganie i przelewanie wina do czystych beczek.

Nadszedł też czas dokonania przeglądu urządzeń tłocznych takich jak prasy, miazgownice, młynki i wyciskarki. Na winnicy trwają rozpoczęte w styczniu prace przy przycinaniu winorośli.

Marzec

Zimowe cięcie i formowanie krzewów dobiega już końca. Teraz idą w ruch łopaty i dziabki. Rozpoczyna się bowiem okres spulchniania ziemi wokół krzewów oraz rozgarnianie kopczyków po zimowym zabezpieczeniu przed mrozem. Te prace najlepiej wykonywać po deszczu i w pochmur-

ny dzień, aby młode, źle znoszące słońce pędy miały możliwość lepszego wzrostu i dobrej wegetacji. Kiedy w widocznej w tle XVIII w. fabryce tkanin sukiennicy rozpoczynają pracę na pierwszej zmianie, winiarze w swoich wytwórniach kończą butelkowanie starego wina i czuwają nad dopełnianiem beczek młodym, właśnie rozpoczynającym wtórną fermentację, winem.

Kwiecień

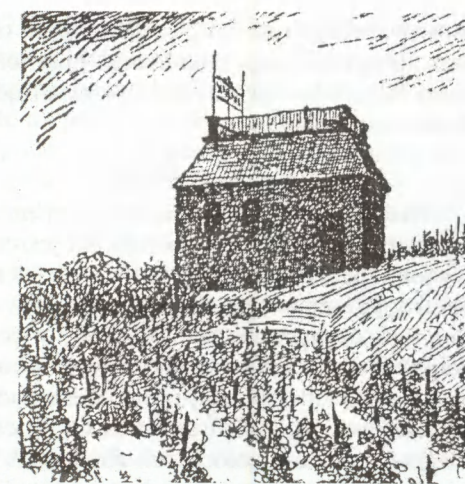
Praca na winnicy trwa. Rozpoczyna się dosadzanie nowych krzewów w miejsce starych, zmarzniętych i słabo owocujących. Mimo że krzewy winogronowe można sadzić również jesienią, w naszym klimacie właśnie wiosna jest najlepszym okresem na tę pracę. Nadszedł również czas na generalne porządki. Odchwaszczanie, grabienie i palenie odciętych pędów, a także wymiana zniszczonych palików i podwiązanie do nich szybko rosnących pędów, to najważniejsza praca w kwietniu na winnicy. Na winnicy usytuowanej na północnym stoku miasta rozpoczęły się właśnie prace opryskowe, zabezpieczające winorośl przed pasożytami i chorobami. Częstym sposobem na utrzymanie w ziemi wilgoci i zabezpieczenie przed szybko rosnącymi chwastami jest ściółkowanie międzyrzędów słomą, trawą lub obornikiem. Mimo takiego nawału prac na winnicy winiarz ani na chwilę nie przestaje pilnować swojej piwniczki z młodym, dojrzewającym winem.

Maj

Kolejny miesiąc winnica pilnowana jest przez winogrodników. Na wypadek majowych przymrozków między rzędami roztawiane są piecyki do lekkiego ogrzania rozpoczynających kwitnienie winorośli. Zaś w piwnicach wytwórni rozpoczął się drugi obciąż młodego wina i usuwanie osadu z dna beczek. Długą szklaną pipetą winiarz pobiera próbki wina do badania buketu i degustacji. Do pracy ruszają też bednarze. Rozpoczyna się czas naprawy beczek i kadzi. Tu i ówdzie trzeba poprawić przesuniętą obręcz, wymienić pękniętą klepkę, wymienić przy kufie nieszczelną furtkę z rygłem. Na winnicy zaczynają się powoli upały, a w ciemnej, omszałej piwnicy panuje stała przyjemna temperatura.

Czerwiec

Zza okna winiarz z radością obserwuje okrywające się kwiatem winnice. Właśnie wykonał kolejny zabieg chroniący przed szkodnikami i skończył pracę przy mocowaniu, niewiadomo kiedy wyrosłych, nowych pędów do tyczek. Jeszcze tylko kontrola poziomu ubiegłorocznego wina w beczkach i najwyższy już czas rozpocząć przygotowania do zbliżającego się winobrania. Bednarz, po zimowym, krótkim odpoczynku ze zdwojoną siłą pracuje nad uzupełnianiem



zapasów beczek i naprawą uszkodzonych transportem podczas ubiegłorocznego winobrania. Pora też sprawdzić stan koszy i nosideł na owoce oraz oczyścić urządzenia i naczynia do świeżego moszczu.

Lipiec

Nie ustaje krzątanie winiarzy na winnicy. Letnie deszcze sprzyjają wzrostowi winorośli, ale jeszcze szybciej rosną chwasty i zielsko. Wynajęci przez właściciela plantacji robotnicy pilnują więc pola i usuwają pasożyty. Obcinają też tu i ówdzie zbyt wybujałe pędy, aby więcej soków mogły pobrać zawiązujące się właśnie owoce winogron. Jeśli winnicę nie nawiedzi już nieprzewidywane gradobicie lub plaga szkodników, już teraz winiarz może określić orientacyjną wielkość swoich tegorocznych zbiorów. A kiedy letni upał zaczyna doskwierać, winiarz chętnie chroni się w swoim niedawno wybudowanym domku i chłodnej piwnicy pełnej wina różnych roczników.

Sierpień

Do winobrania już niedaleko. Powoli zaczynają dojrzewać grona w dorodnych kiściach. Coraz więcej szpaków i kwiczołów odwiedza winnicę.

Winogrodnik zamienił więc swój nieodzowy koser na wiatrówkę. W rękach specjalnie zatrudnionych strażników winnicy kołatki, dzwonią dzwonki, dudnią bębenki i pokrywki. Winnica na południowym stoku miasta, nieopodal wieży widokowej na wzgórzu Braniborskim, tętni życiem. Właśnie z wielkiej beczki upuszczono młodego wina i gospodyni podaje go zaproszonym gościom. W cieniu rozłożystej lipy, nalewając z kamionkowego dzbanka oprawionego w cynę, wszyscy degustują roczne wino z białych winogron. Piją z kielichów i szklalnic o niezbyt wyszukanych kształtach z prostego karczemnego szkła. Z okna domu winiarza zwisa wieniec z pnączy winorośli, znak to, że rozpoczęto wolny wyszynk, sprzedaż wina nie obłożonego żadnym podatkiem.

Wrzesień

Rozpoczęły się już gorączkowe przygotowania do winobrania. Naczynia i kosze czekają już w komnacie domku, uzupełniono też narzędzia do ścinania gron o dodatkowe kosery i noże.

Winiarz przegląda jeszcze stan beczek, dezynfekuje i kończy zalewanie ich wodą, dla lepszego uszczelnienia klepek. Kończy też akcję zatrudniania zbieraczy i spraszaną na winobranie rodziny i znajomych. Pełne ręce roboty ma też gospodyni. To ona szykuje poczęstunek i miejsce na noclegi dla wszystkich, którzy zechcą pomóc przy zbiorze. Trzeba też pomyśleć o muzyce i zabawie na zakończenie pracy po kilku dniach. Kiedy od roku 1952 czas zbiorów ogłaszany był dla wszystkich winiarzy w jednym terminie, winobranie kończono barwnym korowodem, przechodzącym głównymi ulicami miasta i zabawą do białego rana.

Październik

W różnych częściach miasta, w zależności od nasłonecznienia stoków, na których założono winnice, w różnym czasie dojrzewają owoce. Dlatego czas zbiorów może przeciągnąć się nawet do końca października. Co bardziej przewidujący winiarze w obawie o przymrozki, już na winnicy ustawiają młynki i koryta, aby najszybciej z obfitych zbiorów uzyskać pierwszy moszcz i w beczkach przewieźć go do wytwórni. Dopiero tam, w ogromnych drewnianych prasach, poruszanych ręcznie za pomocą śrub, z moszczu wyciskany jest sok i

systematycznie wlewany do przygotowanych już wcześniej kadzi. Od obfitości zbiorów i zawartości cukru w gronach zależy teraz będzie smak i bukiet wina jakie już za miesiąc, po pierwszej fermentacji, można będzie skosztować.

Listopad

Już po winobranii. Znowu idą w ruch kosery i sekatory. Trzeba przyciąć zbyt mocno wyrośnięte pędy i usunąć zbędne. Pora też pomyśleć o lekkim nawiezieniu ziemi i okopaniu krzewów przed nadchodzącymi mrozami. Carl Engmann, jeden z ostatnich zielonogórskich winiarzy XIX w., do końca pilnuje prac na swojej winnicy w okolicach wzgórza Piastowskich. Opoдал, w piwnicy jego pięknego domku, w kadziach pełnych moszczu kończy się pierwsza fermentacja. Drożdże, jeszcze niedawno cukier z moszczu przerabiające na alkohol, teraz powoli cichną, a niebawem fermentacja zupełnie ustanie. Wtedy wino poddane zostanie klarowaniu i pierwszemu odciągowi. Znowu zapełnią beczki i kufy młodym winem, znowu w przesączonej zapachem niedawnej fermentacji, piwnicy będzie leżało młode dobre wino.

Grudzień

Na dworze mróz, a w zaciszu domowej winiarenki grupa smakoszy spędza miły wieczór nad kielichem dobrego, słodkiego wina. Nie wyprodukowano go jednak w wytwórni zielonogórskiej, bowiem winiarstwo na naszych terenach przeszło już do historii. Nie ma okalających niegdyś miasto kilkuset hektarów plantacji winnych, zamknięto również ostatnią winiarnię Gremplera Lubuską Wytwórnię Win, znaną również kiedyś jako najstarszą wytwórnię szampana. Od kilku lat w Zielonej Górze nie istnieje przemysł winiarski, w związku z czym pozostała tylko tradycja i wspomnienie. A wspominają najczęściej i najchętniej ci ludzie, którzy z miastem i jego odległą historią związani są poprzez swoją pasję poznawania przeszłości i przekazywania tej wiedzy młodym pokoleniom.

Zdzisława Kraśko

Grudzień i styczeń w ogrodzie

To okres mniejszej aktywności w pracy na działce. Na zagonach pozostały zimujące w gruncie pory, pietruszka, sałata zimowa i szpinak, które w przypadku mroźnej zimy należy lekko przykryć. Przez cały czas zbieramy brukselkę, rosponkę i jarmuż. Warzywa te po niewielkim przemarznięciu nabierają delikatności, tracą goryczkę (brukselka) i stają się mniej tykowane (jarmuż). W tym czasie korzystamy z zebranych przez siebie plonów. W spiżarniach znajdują się słoje ze wspaniałymi przetworami własnej roboty (sałatki, kiszonki, marynaty, przeciery, dżemy, kompoty, wino). Możemy przez całą zimę objadać się tymi pysznościami wzbogacając nasz jadłospis. Do tego celu wykorzystujemy również warzywa przechowywane w piwnicach (marchew, pietruszkę, seler, buraki, cebulę, kapustę), jednocześnie przeprowadzając ich selekcję – wyrzucając wszystkie chore i zgniłe. Przy okazji sprawdzamy zdrowotność przechowywanych cebul kwiatowych (begonii, dali, mieczyków, lili orientalnych, sparaksji, iksji, acidantery, tygrysówki, cynobrówki). Małe uszkodzenia usuwamy nożem, a ranę przysypujemy węglem drzewnym.

Przed wysychaniem chronimy cebulę przysypując ją torfem lub trocinami. Przede wszystkim to pora uprawy wa-

ryw w domu. W zależności od potrzeb, co 2-3 tygodnie pędzimy pietruszkę, cebulę i szczypiorek na tzw. zieloną noc. Pojemniki z wysadzonymi warzywami umieszczamy w nasłonecznionym miejscu (szczypiorek w zaciemnionym) i na początku obficie podlewamy. Rozpoczynamy pędzenie cykorii sałatowej. Zdrowe korzenie, długości ok. 15-18 cm sadzimy do skrzynek z żyzną ziemią, zaś górę całkowicie przykrywamy piaskiem i obficie podlewamy. Skrzynki ustawiamy w chłodnym i ciemnym pomieszczeniu. Pędzenie trwa ok. 3-5 tygodni. Bardzo zdrowym i smacznym dodatkiem do kanapek i sałatek jest rzeżucha. Jej uprawa jest bardzo prosta – w płaskim pojemniku (może to być płaski talerz) na mokrą ligninę wysiewamy nasiona (pojedynczo) i systematycznie zraszamy wodą. Już po 5-6 dniach od wysiewu ścinamy nożyczkami całe roślinki. Przez całą zimę kontynuujemy uprawę kielków (patrz: *Kielki dobre na wszystko*).

Szczególnie w tym okresie (mało światła i suche powietrze) nasze kwiaty doniczkowe wymagają dużo troski. Przenosimy je wtedy jak najbliżej okien i raz w tygodniu zraszamy liście wodą. Nie zapominamy też o roślinach zimujących w mieszkaniu (pelargonie, fuksje). Powinny być one ustawione w widnym, suchym, przewiewnym miejscu w tempe-

raturze 6-10 st.C i sporadycznie podlewane. Jeżeli na przełomie lutego i marca będziemy chcieli z roślin matecznych przygotować sadzonki, to pod koniec stycznia skrzynki z nimi należy przenieść na parapet okienny (16-18 st.C) i zacząć systematycznie podlewać. Pod koniec stycznia możemy przystąpić do pierwszych wysiewów kwiatów (pelargonii i begonii). Skrzynki wypełniamy ziemią ogrodową, piaskiem i torfem (3:1:1), ugniatamy ją i podlewamy. Nasiona wysiewamy równomiernie, przysypujemy cienką warstwą piasku i przykrywamy folią, aby zapewnić odpowiednią wilgotność. Skrzynki ustawiamy w ciepłym i jasnym miejscu. Gdy pojawią się pierwsze siewki nakrycie zdejmujemy i całość podlewamy w miarę potrzeby.

W styczniu bielimy pnie i grube konary drzew owocowych, aby zapobiec pękaniu kory i tworzeniu się ran zgorzelinowych na skutek dużych wahań temperatury między dniem i nocą. Sprawdzamy zabezpieczenie zimowe drzewek i innych roślin.

Okres zimy to najlepsza pora do przejrzenia czasopism fachowych i zapoznania się z nowinkami ogrodniczymi. Już teraz można zacząć planować uprawy na działce.

Stanisław Prałat

Wigilijne zwyczaje w tę jedną jedyną noc

Kiedy w wieczór wigilijny cichną i pustoszeją ulice, gdy zbieramy się przy zastawionym stole, by przełamać się opłatkiem, wydaje się, że od wieków w ten dzień nic się nie zmienia. Jak zawsze ubieramy wigilijne drzewko, szykujemy wieczerze, kolędujemy. Żal tylko, że zieloną jedlinę zastępuje często plastikowa choinka, że coraz niezręczniej uczestniczyć w podniosłej ceremonii wigilijnej kolacji, a kolęd słuchamy przez radio.

Noc wigilijna była niegdyś najbardziej tajemniczą w roku. Wierzono, że w tę jedną jedyną noc otwiera się ziemia i ukazuje ukryte w niej skarby, że w ulach budzą się pszczoły, pod śniegiem kwitną kwiaty, rzekami płynie złoto i srebro, a wszystkie stworzenia domowe i leśne rozmawiają ze sobą ludzkim głosem. Cuda te mógł jednak zobaczyć tylko ten, kogo serce było nieskalane.

Tylko najodważniejsi kwapili się też do podsłuchiwania zwierząt, które miały moc przepowiadania śmierci – lękano się takich prorocत्व. Wierzono także, że w dzień wigilijny, nawiedzają ziemię dusze zmarłych. Dmuchiwanie na krzesła przed siadaniem, zakaz rąbania drew, używania ostrych narzędzi i spluwania na podłogę, miał je chronić przed przypadkowym zranieniem. Dla nich też stawiano na stole dodatkowe nakrycie i przez całą noc podtrzymywano ogień. Nie zawsze oczywiście odwiedziny duchów były domownikom miłe, proszono je więc, że kiedy już odpoczną i posilą się – poszły sobie i nie wracały aż do następnego roku.

W dzień wigilijny uważano bardzo na wszystkie domowe czynności. Ich przebieg miał bowiem wpływ na cały następny rok. Wstawoło się wcześniej, by przez cały rok czuć się rześkim i wyspanym, a na dno misy z wodą do

mycia wrzucano srebrną monetę – symbol urody. Nie wolno było kłaść się w ciągu dnia, aby potem nie chorować. Niczego też nie pożyczano sąsiadom, by nie narażać się na utratę mienia. Kary wymierzone dzieciom w wigilię powtarzać się miały przez cały rok, jako najsukcesowniejszy środek wychowawczy.

Niecodziennosc dnia sprzyjała wszelkim wróżbom. Do dwunastu łusek cebuli sypano po szczypcie soli – ułożone jedna za drugą oznaczały dwanaście miesięcy w roku. Jeżeli w którejś sól wilgotniała, miesiąc zapowiadał się deszczowy. Gwiazdziste niebo oznaczało urodzaj („W wigilię jasno, w stodołach ciasno”). „By chleb się domu trzymał” stół wigilijny opasywano powrozem. Uważano również, by do wieczerzy siadać według starszeństwa, aby w takiej samej kolejności odchodzić z tego świata. Nie brakowało też wróżb małżeńskich. Już na kilka dni przed wigilią dziewczęta pilnowały domu, aby nikomu nie udało się powiesić na dachu słomianej kukły. Oznaczała ona bowiem, że jego mieszkanka urodzi siedem córek, a wśród nich czarownicę. Żeby się natomiast dowiedzieć z której strony nadejdą swaci, dziewczęta uciekały się do najróżniejszych sposobów. Ciągnęły psa za ogon, pilnie patrząc w którą stronę zaszczeka, liczyły drewno przyniesione do izby po ciemku – parzysta liczba szczapek wróżyła ślub. Co bardziej niecierpliwie wychodziły przed dom wołając „hop, hop, gdzie mój chłop!”, aż echo przynosiło jakieś odgłosy. Wróżyło również z sianka spod wigilijnego obrusa – zielone oznaczało ślub w zapusty, zwiedle – długie czekanie, kruche i poczerwienie – staropaniństwo.

Najpoważniejsze były jednak wróżby dotyczące pomysłowości, zdrowia i życia. W czasie wigilijnej wieczerzy bacznie obserwowano swoje cienie. Jeżeli ich brakowało, był to złowrogi znak niedalekiej śmierci, ciernie słabe, ledwie widoczne zapowiadały chorobę, zaś wyraźne wróżyły życie szczęśliwe, długie i dostatnie.

Stanisław Prałat



Piernik

50 dkg mąki, 1 szklanka cukru, 1 szklanka miodu,
10 dkg masła, 4-5 jajek, 1 łyżeczka oliwy,
1 łyżeczki sody, 1 torebka przyprawy do pierników,
20 dkg bakalii (skórka pomarańczowa,
figi, rodzynki, orzechy).

Formę posmarować tłuszczem i posypać mąką. Miód rozpuścić i ostudzić. Żółtka oddzielić od białek i utrzeć je z masłem i cukrem na pulchną masę. Mąkę wymieszać z sodą i ucierając dodawać po trochu do masy. Białka ubić na sztywną pianę. Delikatnie wymieszać z ciastem i wysypać bakalie. Włożyć ciasto do formy i wstawić do średnio rozgrzanego piekarnika. Piec ok. godziny. Piernik można przełożyć gęstą marmoladą i polukrować lukrem czekoladowym.

Pieczeń wołowa po obywatelsku

50 dkg wołowiny bez kości (zrazowa, krzyżowa),
2 dkg mąki, tłuszcz, 2 suszone grzybki,
8 dkg marchwi, 8 dkg pietruszki, 8 dkg selera,
8 dkg cebuli, 15 dkg ziemniaków,
1/3 szklanki śmietany,
4 dkg tartego chrzanu, sól pieprz,
majeranek i czosnek do smaku.

Mięso umyć, wyżyłować, zbierając tłuszczem, natrzeć przyprawami, oprószyć mąką, zrumienić na silnie rozgrzanym tłuszczu, dodać namoczone i pokrojone w paseczki grzybki, skropić wodą i dusić na małym ogniu pod przykryciem. Warzywa umyć, obrać, opłukać i zetrzeć na tarce o dużych otworach, włożyć do mięsa pod koniec duszenia. Miękkie mięso wyjąć, pokroić w poprzek włókien na porcje i ułożyć na półmisku. Sos przetrzeć, po-

łączyć ze śmietaną, chrzanem oraz przyprawami, chwilę pogotować, doprawić i połączyć mięso. Podać z ziemniakami i surówkami.

Zrazy cielęce po lwowsku

50 dkg cielęciny bez kości (frykando),
5 dkg cebuli, tłuszcz,
8-10 dkg kaszy gryczanej (ugotowanej),
żółtko, 5 dkg szynki, natka pietruszki, 2 dkg mąki,
1/3 szklanki śmietany,
4 dkg koncentratu pomidorowego,
sól, pieprz, przyprawa do zup do smaku

Mięso umyć, zdjąć błonę, pokroić ukośnie na cztery porcje, rozbić tłuczkiem zwilżonym wodą na cienkie plastry, posypać przyprawami. Cebulę obrać, opłukać, drobno pokroić, usmażyć, połączyć z kaszą, żółtkiem, pokrojoną w paseczki szynką oraz posiekaną natką pietruszki., doprawić. Następnie rozłożyć to na przygotowanym mięsie, zwinąć w ruloniki, obwiązać nitką, oprószyć przyprawami i mąką, zarumienić na małym ogniu pod przykryciem. {Pod koniec duszenia wlać śmietanę wymieszaną z koncentratem, doprawić. Podawać z ziemniakami, kalaflorem i surówkami.

Mięso z soczewicą i ryżem

1,5 kg pręgi wołowej, 3 posiekane cebule,
2 łyżki tłuszczu, 1 szklanka soczewicy lub łupanego
żółtego grochu, 2 łyżeczki soli, 1 łyżeczki pieprzu,
4 szklanki wrzątku, 1 szklanki ryżu.

Soczewicę namoczyć w zimnej wodzie na dwie godziny (groch przebrać, zalać zimną wodą, pozostawić na noc). Mięso pokroić w dużą kostkę, zrumienić razem z cebulą w rozgrzanym tłuszczu. Soczewicę lub groch odcedzić, dodać do mięsa, przyprawić solą i pieprzem, gotować na bardzo małym ogniu 1,5 godziny. Ryż wypłukać, dokładnie odsączyć, wmieszać do mięsa z soczewicą, przykryć, gotować 25 min. Podawać ze świeżym pieczywem i surówką lub ogórkiem kwaszonym.

Stanisław Pralat